

**STANISŁAW BRENK**

# **BALONEM „LOPP” NAD MORZE BIAŁE**



---

**NAKŁADEM ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
LIGI OBRONY POWIETRZNEJ I PRZECIWGAZOWEJ  
WARSZAWA 1937**

STANISŁAW BRENK

# BALONEM „LOPP” NAD MORZE BIAŁE



---

NAKŁADEM ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
LIGI OBRONY POWIETRZNEJ I PRZECIWGAZOWEJ  
WARSZAWA 1937

25 II 26  
25 II 4d 3

*Przedruk bez zezwolenia autora zabroniony.*

590372 II

K-87 (4673)

4.07.



600-

*Młodym entuzjastom lotnictwa  
tę książkę poświęca*

**AUTOR.**





Stanisław Kruczyński

Wydając niniejszą książkę, Zarząd Główny L.O.P.P. stwierdza:

*Historia załogi balonu LOPP kpt. Janusza i por. Brenka jest dowodem, iż ufność we własne siły, nieugięta wola, odwaga i wytrzymałość są niezbędnymi warunkami do pokonania wszelkich przeszkód i osiągnięcia celu.*

(—) Inż. Leon Berbecki.



Prezes Zarządu Głównego L. O. P. P. p. gen. Berbecki przyjmuje załogę balonu L. O. P. P.

## I.

### „GORDON BENNETT“.

W r. 1905 wydawca wielkiego dziennika amerykańskiego „New York Herald“, sir James Gordon - Bennett, ufundował 3 puchary swego imienia, jako nagrody dla uczestników zawodów balonów wolnych, samochodowych i lotniczych, przeznaczając równocześnie pokaźne kwoty na nagrody pieniężne dla zwycięzców. Puchary samochodowy i lotniczy przed wielu laty zdobyła na własność Francja. O puchar balonowy potoczyła się walka dłuższa i bardziej zacięta — regulamin bowiem zawodów balonów wolnych zawiera jeden dość drakoński paragraf, który orzeka, iż puchar przechodzi na własność zwycięskiego państwa dopiero po trzykrotnym kolejnym zdobyciu pierwszego miejsca.

Nic zatem dziwnego, że walka o pierwszy puchar toczyła się aż 13 lat. Żadne z państw nie mogło przez dłuższy czas utrzymać berła pierwszeństwa. Raz zwyciężały Stany Zjednoczone (w latach: 1906, 1909, 1910 i 1913), to Niemcy (r. 1907 i 1911), to znów pojedyncze triumfy przypadały w udziale Szwajcarii (1908 i 1921) albo Francji (r. 1912). Wreszcie zdobywa pierwsze miejsce Belgia, która po sukcesie w r. 1922 zwycięża kolejno w latach: 1923, 1924 i 1925, uzyskując już na własność w r. 1924 puchar Gordon Bennetta. Trzy kolejne zwycięstwa, które zdecydowały o zdobyciu pucharu, odniósł znakomity aeronauta belgijski Demuyter. Aby nie zaniechać



pięknej tradycji, zapoczątkowanej przez Gordon Bennetta, Belgia funduje drugi puchar tego samego imienia i od tego czasu wchodzi to w zwyczaj, że zwycięskie państwo funduje kolejny puchar jako nagrodę zawodową balonów wolnych imienia Gordon Bennetta.

Walka o dalsze puchary rozegrała się już szybciej. Teraz seria powodzeń przenosi się do Ameryki. Stany Zjednoczone zdobywają kolejno dwa puchary, w latach od 1926 do 1932 (w r. 1931 zawodów nie rozegrano). Wreszcie wypływa na widownię Polska.

Aeronauci polscy po raz pierwszy biorą udział w zawodach o puchar Gordon Bennetta w r. 1932. Balony startują z Bazylei i lecą w kierunku Polski. Na 15 zawodników polski balon „Gdynia“ zajmuje 6-te miejsce i ląduje nawet w samej Warszawie. „Polonia“ zaś uzyskuje czwarte miejsce.

Początek zatem zrobiony. Polska zaczyna doganiać, a w następnym roku już nawet wyprzedzać inne państwa w dziedzinie aeronautyki. Rok 1933 przynosi barwom polskim pierwszy wielki sukces międzynarodowy. Balon polski „Kościszko“ z Hynkiem i Burzyńskim zdobywa pierwsze miejsce w Stanach Zjednoczonych. Przebywa 1360 km i ląduje w puszczy kanadyjskiej. W ciągu 5 dni brak wszelkich wiadomości o losach aeronautów polskich. Lecz głęboki niepokój przeradza się w żywiołową radość, kiedy Polska, równocześnie z wieścią o odnalezieniu pilotów, dowiaduje się o ich zwycięstwie.

W zagranicznych kołach aeuronautycznych przebąkują coś o... przypadku. Tym na ucho szeptanym głosom zadają jednak kłam następne lata. W r. 1934 po raz pierwszy zawodnicy o puchar Gordon Bennetta zjeżdżają do Warszawy. I znowu triumfują barwy polskie. „Kościszko“ tym razem pilotowany przez Hynka i Pomaskiego zajmuje znów pierwsze miejsce. Przypadek? O nie! Teraz już nieprzychylne głosy zagranicy muszą umilknąć i uznać niezaprzeczalne zdolności nawigacyjne polskich pilotów, oraz pierwszorzędną jakość polskiego sprzętu balonowego. W tych samych bowiem zawodach



balony polskie zajmują jeszcze drugie („Warszawa II”), oraz czwarte miejsce („Polonia II”). Polska triumfuje na całej linii.

Nie dość na tym. Nadchodzi rok 1935, który raz jeszcze podkreśla dobitnie wyższość polskich aeronautów i polskiego sprzętu balonowego. Po raz trzeci barwy polskie wieńczy laur. Wszystkie trzy balony nasze zajmują czołowe miejsca („Polonia II” — pierwsze, „Warszawa II” — drugie, „Kościuszko” — piąte). Czy śmiałyby jeszcze kto mówić teraz o przypadku? Nie przypuszczamy.

W tym roku, po tym trzecim kolejnym zwycięstwie, zdobywamy na własność czwarty puchar Gordon Bennetta, ufundowany przez Stany Zjednoczone, który odtąd stanowi jedno z najcenniejszych trofeów, nagromadzonych w salonach Aeroklubu Rzeczypospolitej.

Wreszcie r. 1936. W tych ostatnich zawodach dane nam było wywalczyć niestety tylko drugie miejsce. W jakich okolicznościach, wśród jakich przygód, o tym mówi niniejsza książka.

Historia zawodów o puchar Gordon Bennetta obfituje wogóle w liczne, niekiedy wysoce dramatyczne, a nawet tragiczne przygody zawodników, ale notuje także wspaniałe wyczyny sportowe. Nie od rzeczy będzie przypomnieć niektóre z nich.

W pierwszych zawodach, do których dn. 30 września 1906 roku wystartowało z Paryża 16 balonów w obecności 200.000 rozentuzjasmowanych widzów, brał również udział sterowiec z 6-cjokonnym silniczkiem i śmigłem przy gondoli. Leciał na nim Francuz, słynny konstruktor - lotnik Santos - Dumont. Śmigło skaleczyło go jednak w rękę i musiał lądować. Później dopuszczano do zawodów już tylko balony wolne, których pojemność ograniczono do 2200 m<sup>3</sup>.

W r. 1908 amerykański balon „Conqueror” pękł w kilka chwil po starcie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności powłoka

balonu utworzyła spadochron, dzięki czemu kocz z załogą opadł wolno na ziemię i zawodnicy ocaleli. Podczas tych samych zawodów, do których start odbył się w Berlinie, 4 balony opadły na morze Północne. Zdołano je jednak wyłowić wraz z załogami.

W roku 1910 podczas zawodów w Stanach Zjednoczonych balon „Harbour“, opadając z szaloną szybkością z wysokości 6.000 m, wpadł do rzeki Missisipi. I tym razem załogę uratowano. Najtragiczniejszy przebieg miały zawody w r. 1923. Start odbył się 23 września z Brukseli. Balony leciały wśród gwałtownej burzy z piorunami. Nie wszystkie zdołały uciec przed nimi. Zwycięzca w tych tragicznych zawodach, słynny Demuyter, aby zyskać na wysokości i umknąć przed piorunami, poświęcił w ciągu pierwszej godziny od chwili startu aż 17 worków balastu, kotwicę i kilka butli z tlenem. Trzy inne balony spotkał gorszy los. Rażone przez pioruny spłonęły, o różnym czasie i w różnych miejscach. Dwa nad terytorium Belgii, jeden nad Holandią. Śmiercią lotnika zginęli wówczas: aeronauta szwajcarski Grunichen i jego towarzysz Wehren, oficerowie amerykańscy Olmstead i Choptaw, a z załogi balonu hiszpańskiego zginął na miejscu Penaranda Barca, podczas gdy pilot tego balonu, Guillamon Gomez cudem prawie uszedł z życiem, doznając jedynie złamania nogi. Czwarty balon angielski, znalazł się również w dramatycznej sytuacji, zmuszony do wodowania w odległości 50 km od wybrzeży Szwecji. Przeptywający w pobliżu kuter rybacki zdążył jednak na czas z pomocą i wyłowił załogę z morza.

Podczas obfityjących w przygody zawodów w r. 1925 zwycięzca Belg Veenstra lądował w Hiszpanii, na skale nadbrzeżnej, skąd porywisty wiatr zepchnął balon do morza. Trzy inne balony, lecące nad morzem, zmuszone były do lądowania na pokładach statków. Jeden z nich wylądował na kominie i spłonął.

Najdłuższego przelotu w zawodach balonowych dokonali w roku 1912 Francuzi: Bienaimé i Rumpelmayer, przelatując

2191 km ze Stutgartu do Rybnoje w Rosji. Najdłużej utrzymywali się w powietrzu w roku 1908 aeronauci szwajcarscy: Schaeck i Messner, przez 72 godziny 25 minut.

Ale czas już powrócić do naszej własnej przygody, ku której nas uniósł pod dalekie nieba północnej Rosji nasz balon „L. O. P. P.“.



NAGRODA PRZECHODNIA.



V-ty puchar im. Gordon-Bennetta ufundowany przez „Gazetę Polską”.  
— Rzeźba St. Szukalskiego.

... ze wszystkich istot świata człowiek jedynie odczuwa boleśnie niewolę swą prawom ciężkości ku ziemi. To uczucie niemocy do oderwania się od jej padołu klęsk, smutku i strachu jest głównym powodem podświadomej a wiecznej tęsknoty.

Dlatego tylko człowiek może tęsknić, nawet nie mając widocznego ku temu powodu.

Mimo swej świadomej wyższości ponad inne istoty ziemi czuje się on tysiąckrotnie bardziej upośledzony przez to, że razem z płazami i innymi ssakami musi pełzać jak one, po równi przyziemnej. Budowaniem więc świątynnych siłł się on, od pradziejów, zadośćuczynić swej tęsknocie, przez wdrapywanie się na nie.

Ta tęsknota ku górze tak głęboko wrodzoną jest w rasie ludzkiej, że same słowa „góra“ i „wysokość“ są równoznaczne „doskonałości“ i „dążeniu ku ideałom“.

Kiedym jako dziecko widział na wsi prawie niedostrzegalny biały balon na niebie, tom poczuł tak straszną tęsknotę, takie nieopisane nieszczęście — bom tam wysoko nie mógł być, że nigdy nie przeżywałem już potem w życiu takiej głębi uczucia i smutku.

Upośledzona prawem ciężkości ku ziemi ludzkość czuje się jako robak bezskrzydły na dnie dzbanka. Tęskni ona ku otworowi wolności, a tym otworem jest słońce umieszczone za wysoko, ponad dnem niebieskiego ciążenia.

Im nieszczęśliwszą czuje się ludzkość, tym łakomiej myśli o balonach. A najlepszymi balonistami są ci, co wyrażają najlepiej tęsknotę swego narodu.

Zawody Gordon Bennetta są właśnie oknem upustu tej człowieczej tęsknoty, by pójść jak najbliżej słońca, a najdalej od ziemi.

*Znaczenie rzeźby ofiarowanej jako trofeum dla Zwycięzcy Zawodów Balonowych „Gordon Bennett 1936“.*

Ludzkość jest przedstawiona tutaj jako pełzający po globie ślimak, którego tęsknota jest uosobiona w ciele dziewczyny. Sięga ona ku słońcu i czterema ramionami chwytą za promienie światła. Ma ona cztery ramiona, bo ślimak ma tyle czujek. Dziewczyna jest uskrzydłona, bo tęsknota jest matką Twórczości, a ta zaś zawsze znajduje sposoby, by czynienie „wznioślejsz“ wystarczyło nam, kiedy wyżej się nie da.

Oto jak wyjaśnia treść swej rzeźby twórca V-go pucharu im. Gordon Bennetta — St. Szukalski.



## II.

### PRZYGOTOWANIA DO „GORDON BENNETTA 1936 R.“.

Każde zwycięstwo w trudnych zawodach międzynarodowych wymaga starannych przygotowań i wypracowania. Nie wolno stawiać do walki, licząc jedynie na przypadek. Trzy nasze kolejne zwycięstwa dowiodły, że o sukcesach polskich balonów zdecydowały właśnie momenty, wykluczające wszelką przypadkowość — przede wszystkim poza doskonałym sprzętem, znajomość nawigacji naszych pilotów, oraz niemniej ważny czynnik psychiczny — silna wola zwycięstwa.

Po przejściu czwartego pucharu Gordon Bennetta na własność Polski, w bieżącym roku rozpoczął się turniej powietrzny o nowy puchar, który ofiarowała „Gazeta Polska“. Symbolikę tego „trofeum“, stworzonego przez znanego rzeźbiarza o „rogatym sercu“ Stanisława Szukalskiego, wyjaśnią najlepiej słowa samego twórcy, przytoczone tutaj na innym miejscu.

Aeroklub Rzeczypospolitej, chcąc zapewnić sobie możliwie największe szanse zwycięstwa w tegorocznych zawodach, wyznaczył do ekipy polskiej, w porozumieniu z Dowództwem Lotnictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, wypróbowanych już w licznych spotkaniach międzynarodowych aeronautów, tylko częściowo uzupełniając załogi nowymi zawodnikami. Weszły więc w skład ekipy polskiej tak znakomite asy lotnic-

twa balonowego jak: kpt. Hynek, kpt. Burzyński i kpt. Pomaski, którzy wślawili imię Polski już w poprzednich zawodach. Jako jednego z nowicjuszy wyznaczono do reprezentacji polskiej inż. Janika z Aeroklubu Warszawskiego, który w roku 1935 w krajowych zawodach balonowych o puchar im. pułk. Wańkowicza towarzyszył kpt. Łojasiewiczowi, zdobywcy pierwszego miejsca. Drugim nowicjuszem byłem ja, wybrany do reprezentowania barw polskich prawdopodobnie dzięki trzem sukcesom, odniesionym w zawodach o puchar im. pułk. Wańkowicza. (W roku 1926 — pierwsze miejsce, w roku 1927 — drugie miejsce, w roku 1936 — trzecie miejsce). Ostateczny skład załóg polskich przedstawiał się następująco:

Kpt. Hynek i inż. Janik, kpt. Burzyński i kpt. Pomaski, oraz nasza para Janusz—Brenk.

Przydział balonów dla poszczególnych załóg nastąpił w drodze losowania. Los więc rozstrzygnął, że kpt. Hynek otrzymał „Warszawę II“, kpt. Burzyński „Polonię II“, a my... „L. O. P. P.“. Można sobie wyobrazić, jak wielka była nasza radość, kiedy przypadł nam w udziale właśnie „L. O. P. P.“ — balon nowiusieńki, prosto z igły, balon noszący imię potężnej organizacji, skupiającej w swoich szeregach całe społeczeństwo, któremu tak głęboko leży na sercu silna, potężna „Polska Skrzydlata“.

Należy tutaj podkreślić, że Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej w dużej mierze przyczyniła się do wykonania nowego balonu, dzięki funduszom, zebranych z groszowych składek swych członków. Ponadto, dzięki pomocy fabryki „Wargum“ w Warszawie, która bezinteresownie wykonała gumowanie powłoki. Balon był dziełem Wytwórni Balonów i Spadochronów w Legionowie, znanej w całym świecie z doskonałości swej produkcji i jako dzieło rąk polskiego robotnika i mózgów polskich konstruktorów był nam szczególnie drogi.

Po ustaleniu składu załóg rozpoczęło się sumienne i skrupulatne przygotowanie zawodników — teoretyczne i praktyczne — do trudnej konkurencji międzynarodowej. Już w czerw-

cu w 2-gim Batalionie Balonowym, pod kierunkiem ppłk. Sielewicza, odbył się kurs teoretyczny, na którym przerabiano i rozważano najważniejsze zagadnienia, dotyczące techniki długodystansowych lotów.

Między innymi rozpatrywaliśmy wykonanie 70-cio godzinnego lotu w różnych warunkach atmosferycznych, ze szczególnym uwzględnieniem różnic temperatur powietrza i gazu oraz wejścia balonu w noc. Poza tym zapoznano nas z nową teorią Bjerknesa z dziedziny meteorologii, dalej z astronomią, w zakresie dokonywania pomiarów astronomicznych dla lotu, zwłaszcza przy braku orientacji według ziemi. Zwrócono także uwagę na taktykę przeprowadzania lotu i na wszystkie czynniki, które mogą przyczynić się do osiągnięcia jak najlepszych wyników.

Po kursie teoretycznym poddano wszystkich zawodników specjalnym badaniom w Instytucie Badań Lekarskich Lotnictwa w Warszawie, celem stwierdzenia nie tylko ich stanu fizycznego, lecz także psychicznego. Poddano ich również ważnej próbie wytrzymałości w komorze niskich ciśnień, celem stwierdzenia odporności i reakcji organizmu podczas lotu na wielkich wysokościach, kiedy niskie ciśnienie zmusza do posługiwania się aparatami tlenowymi. Wyniki wszystkich tych badań wypadły korzystnie i zawodnicy przystąpili do lotów treningowych, nakazanych przez Dowództwo Lotnictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Należy bowiem pamiętać, że odbycie kilku wspólnych lotów w różnych okolicznościach jest nieodzownym warunkiem wzajemnego poznania się obu pilotów, którzy, jak instrumenty muzyczne w orkiestrze muszą się przecież dostroić do siebie, aby przez poznanie swych cech indywidualnych udoskonalić w jak najwyższym stopniu współpracę w koszu. Drugim bodaj że jeszcze ważniejszym czynnikiem powodzenia lotu jest czynnik przygotowania psychicznego. W momentach krytycznych, nawet niebezpiecznych, mogą wystąpić u pilota przykre zjawiska psychiczne. W czasie przelotu nie trudno o takie zja-



wiska psychiczne. Zdarza się przecież, że balon trafia w strefy burz i wyładowań elektrycznych, gdy dookoła biją pioruny, grożąc spaleniem balonu i załogi. Zupełnie możliwe jest chwilowe załamanie się psychiczne, gdy piloci szybują wśród chmur, pozbawieni widoczności i punktów orientacyjnych, podczas lotu w nocy, w deszczu, mrozie i innych nieprzewidywanych okolicznościach, jakich mnóstwo nastrocza każda podniebna wyprawa, zwłaszcza dłuższa i kiedy chodzi o wywalczenie zwycięstwa. Te chwile depresji psychicznej są wysoce niebezpieczne, gdyż grożą elementem paniki i co za tym idzie przedwczesnym, niepotrzebnym i niekoniecznym ukończeniem lotu. Chodzi więc o to, aby piloci tak się dobrze znali i rozumieli, żeby w krytycznym momencie ujemnego nastawienia jednego z nich drugi pilot umiał dodatkowo wpłynąć na towarzysza, żeby potrafił tchnąć w niego nowe siły, i pomóc w zwalczaniu chwilowego przygnębienia.

Cztery nasze loty treningowe, które odbyły się w różnych warunkach, wzbogaciły nasze doświadczenie, zahartowały i uodporniły nas na różnego rodzaju przeciwności.

Lecieliśmy w nocy w czasie burzy, kiedy dookoła nas błyskawice płomiennymi zygzakami przecinały niebo i głucho, a przeciągłe grzmoty wstrząsały balonem. Wspinaliśmy się na dużą wysokość, by próbę z komory niskich ciśnień powtórzyć w koszu balonowym. Lądowaliśmy na bezludziu w nocy, aby przetrwać do świtu pod gołym niebem. Zwracaliśmy jednak zawsze uwagę na to, aby w momentach krytycznych nie zastanawiać się zbyt długo, co może nastąpić za chwilę. Staraliśmy się na wszystko patrzeć trzeźwo i rozważnie.

Do lotów treningowych przygotowywaliśmy się również przed startem. Rozpatrywaliśmy sytuację meteorologiczną. Zapoznaliśmy się też dokładnie z mapą nieba i konstelacjami gwiazd. Komunikaty radiowe w dzień startu były przedmiotem szczegółowych rozważań. Z całą skrupulatnością czuwaliśmy nad techniczną stroną przygotowań do lotu, obliczając siłę podnośną balonu i ilość balastu. Zabieraliśmy do kosza



Balon L. O. P. P. w czasie lotu.

wszystkie niezbędne instrumenty pomiarowe, nie zapominając o odbiorniku radiowym i kwadrancie do pomiarów astronomicznych, celem ustalenia położenia naszego balonu podczas lotu.

Dwa loty treningowe na małych balonach, o pojemności 1200 m<sup>3</sup>, odbyliśmy z Torunia. Były one dość ciekawe, mimo iż warunki atmosferyczne mieliśmy niezbyt pomyślne, a uzyskane odległości — 175 i 131 km — stosunkowo małe. Pierwszy z tych lotów toruńskich odbywaliśmy w nocy, podczas wspomnianej już burzy. W promieniu kilku kilometrów dookoła balonu waliły pioruny. Chwilami sytuacja była bardzo krytyczna, tak dalece, że w najniebezpieczniejszych momentach zdecydowaliśmy się na chwilowe lądowanie. Lądowaliśmy trzykrotnie, aby następnie wzbić się znowu w powietrze i lecieć dalej.



Lot ten był doskonałą próbą wytrzymałości naszych nerwów i egzaminem przygotowania psychicznego, o którym poprzednio wspomniałem.

Drugi toruński lot był ciekawy z innych względów. Oto start i lądowanie balonu odbyły się prawie w tym samym miejscu, po przelocie 130 km tak w jedną, jak i w drugą stronę. Lot ten pozwolił nam przeprowadzić pewne studia meteorologiczne, tak ważne przy długodystansowych przelotach.

Tutaj mała dygresja. Laik wyobraża sobie może, że balon wolny jest zdany wyłącznie na łaskę wiatrów i że człowiek nie może w żaden sposób kierować jego lotem. Pozornie zdawałoby się, że z chwilą, kiedy kilkanaście balonów startuje prawie równocześnie i z tego samego miejsca do lotu długodystansowego, to wszystkie balony winny polecieć w tym samym kierunku, że tylko od wytrzymałości nerwów, czy też innych okoliczności zależy czas, oraz odległość lotu.

Tak jednak nie jest. W oceanie powietrznym na różnych wysokościach przesuwają się różnorodne masy powietrza, o odmiennych kierunkach i szybkościach. Te masy powietrzne podlegają pewnym prawom. Dokładna znajomość tych prądów na różnych wysokościach umożliwia aeronauce, przy zręcznym manewrowaniu balonem, tak pokierować lotem, aby balon poszybował jak najdalej od miejsca startu. Klasycznych przykładów dostarczają pod tym względem niektóre zawody o puchar Gordon Bennetta. I tak, w roku 1924 po starcie w Brukseli zwycięzca Demuyter przeleciał Kanał La Manche i wylądował w Szkocji, prawie na północ od miejsca startu, podczas gdy inni zawodnicy polecili w kierunkach wręcz przeciwnych. Jedni wylądowali na południe od miejsca startu, drudzy zaś na wschód, lub zachód. W r. 1934 znowu, nasz „Kościuszko” lądował na wschód od Warszawy, podczas gdy „Polonia II” poleciała prawie na północ i wylądowała w Finlandii.

Podobnie odbył się nasz drugi lot treningowy. Z Torunia poleciliśmy do miejscowości Model, w okolicy Żychlina, gdzie wylądowaliśmy i gdzie wysiadłem z kosza, aby koleją powró-

cić do Torunia, podczas gdy kpt. Janusz wzniósł się znowu w powietrze i zręcznie manewrując powrócił do Torunia... drogą podniebną. Wylądował dokładnie w odległości 5 km od miejsca startu. Lot ten dowiódł namacalnie, jak dalece pilot może pokierować swym balonem, wykorzystując siłę i kierunek wiatrów, na różnych wysokościach.

Dwa dalsze loty odbyliśmy już z Warszawy, z lotniska na Mokotowie, na balonach o pojemności 2200 m<sup>3</sup>. Do pierwszego z nich przydzielono nam ten sam „L. O. P. P.“, który później wylosowaliśmy do zawodów. Był to w ogóle pierwszy, „dziewiczy“ lot tego balonu.

W dniu startu siła wiatru była bardzo słaba, a kierunki zmienne, wskutek czego lot na odległość odbył się w granicach tylko 174 km. Czas trwania lotu wyniósł 18 godzin 40 minut. Zorientowawszy się w warunkach atmosferycznych, postanowiliśmy start ten wykorzystać do lotu na wysokość. Butle z tlenem były w koszu, ale nie mieliśmy masek tlenowych, lecz to drobiazg.

Wzbijamy się coraz wyżej. Jesteśmy już na wysokości 4500 m. Powietrze coraz rzadsze. Spoglądamy na siebie i na butle z tlenem. Jeszcze czas! Dajmy spokój butlom! Balon wznosi się coraz wyżej. Pod nami morze chmur. Przez dziury w nich zrzadka dostrzegamy ziemię, która stąd zdaje się przybierać już kształt nieco kulisty. Puls bije coraz silniej. Nie należy żartować. Bierzemy do rąk gumowe wężyki i wkładamy do ust, chłonec ożywczy tlen. W pewnej chwili popełniam jakiś nieopatrzny ruch i wężyk wysuwa mi się z pomiędzy warg. Chwilowe zamroczenie. Z trudem schylam się, aby dorwać się do tlenu. Znowu napływa do ust zbawczy gaz, który osłabionemu na tej wysokości organizmowi dodaje nowych sił. Osiągamy wysokość 6700 m, po czym balon zwolna opada ku ziemi. Wynik lotu był zupełnie zadowalający. Po pewnych drobnych poprawkach balon zostaje ostatecznie przeznaczony do zawodów.

Drugi warszawski lot treningowy odbywamy na balonie „Toruń”. Docieramy w przeciągu 10 i pół godzin do granicy sowieckiej, przebywając 375 km. Lądujemy. Musimy lądować, gdyż nie wolno nam przekroczyć granicy. Siadamy w okolicy Sarn, mimo że jeszcze mamy sporo balastu. Lądowanie odbywa się wśród ciemnej nocy na polanie leśnej. Spędzamy noc pod gołym niebem — mała niewinna przygrywka do licznych nocy, które wypadnie nam spędzić wkrótce pod daleko chłodniejszym północnym niebem.

Podczas wszystkich lotów największą uwagę zwracamy na zużycie balastu przy wejściu balonu w noc, na pomiary temperatury gazu i powietrza, oraz na orientację, przy pomocy gwiazd i radiogonometrii.

Na tym kończą się właściwie nasze praktyczne przygotowania do zawodów. Dały nam one bardzo dużo. Nigdy nie odbywałem lotów z kpt. Januszem, to też cztery wspólne wyprawy treningowe posiadają dla nas obu duże znaczenie. Jak się to później okazało, trening nasz wystarczył nie tylko do pokonania trudności w powietrzu, ale nawet do uporania się ze stokroć większymi przeszkodami, jakie spiętrzyły się przed nami w czasie zawodów, już po wylądowaniu. Po tych lotach przekonaaliśmy się, że jesteśmy z sobą dostatecznie zgrani, aby móc stanąć łącznie do zawodów.

### III.

## START.

Kierownictwo zawodów spoczywało w doświadczonych rękach podpułkownika Jana Wolszlegiera, który nie zaniedbał najdrobniejszego szczegółu, aby organizacja wypadła bez zarzutu.

Wielką pomoc okazał mu sekretarz kierownictwa zawodów — kpt. Stanisław Łojasiewicz.

Swój udział w zawodach o puchar Gordon Bennetta w r. 1936 zgłosiło poza Polską sześć państw: Niemcy — trzy balony: „Augsburg“ z załogą: Frank i Bauderer, „Deutschland“ — Götze i Lohmann, „Sachsen“ — Bertram i Schubert. Belgia — dwa balony: „Belgica“ — Demuyter i Hoffmans oraz „Bruxelles“ — Quersin i van Schelle. Hiszpania — jeden balon: „14 de April“ z załogą Nunez Antonio i Rocha Jose. Stany Zjednoczone — jeden balon. Francja — jeden balon „Maurice Mallet“ z załogą Dollfus i Jacquet, Szwajcaria — jeden balon „Zürich III“ — dr Tilgenkamp i Bosch.

Na dzień 27 sierpnia o godz. 10 wezwano wszystkich zawodników do Ministerstwa Komunikacji, gdzie raz jeszcze sprawdzono ilość zgłoszonych balonów, nazwiska pilotów i dokumenty zawodników, oraz wydano szczegółowy program przyjęć i zawodów.

Na tej odprawie dowiedzieliśmy się z przykrością, że zśród zgłoszonych balonów dwa nie będą mogły wziąć udziału



w zawodach. Odpadł balon amerykański „U. S. Navy“ z powodu nieukończenia na czas przygotowań technicznych, oraz balon Hiszpanii, któremu krwawa wojna domowa przeszkodziła we wzięciu udziału w zawodach. Nie dość jednak, że wypadki w kraju nie pozwoliły Hiszpanom uczestniczyć w konkurencji. Tego samego dnia dzienniki stołeczne doniosły, że załoga zgłoszonego do zawodów balonu, ponoć postradała życie w ogniu walk bratobójczych. Smutna ta wieść rzuciła posępny cień na nasze przygotowania do startu.

Na tej samej konferencji, w drodze podwójnego losowania ustalono kolejność startów poszczególnych balonów. Los rozstrzygnął, że pierwszy ma startować balon francuski „Maurice Mallet“, po nim „Belgica“, jako druga, nam przypadł start na samym końcu.

Z wyniku losowań byliśmy poniekąd zadowoleni, gdyż ostatni start ułatwiał załodze orientację co do szybkości i kierunku wiatru na różnych wysokościach, na podstawie szybujących już w powietrzu balonów. Jak się później okazało, radość nasza była jednak przedwczesna. Traf chciał, że w danym wypadku późniejszy start był niekorzystny. Rozwijająca się sytuacja meteorologiczna oraz układ wiatrów i nadciągających deszczów sprawiły, że posuwający się od zachodu na wschód niż barometryczny popędził nasz „L. O. P. P.“ wcześniej niż balony, które wystartowały przed nami. Wskutek późniejszego startu lecieliśmy dłużej wśród gęstej warstwy chmur, deszczu i śnieżycy, ale to są już późniejsze sprawy. Na razie jesteśmy jeszcze w Warszawie i dopiero przygotowujemy się do startu.

Stosunki między zawodnikami układają się w atmosferze pełnej szlachetnej rycerskości. Zaspokajamy nawzajem naszą ciekawość, zaznajamiając się ze szczegółami technicznymi balonów zagranicznych. Oglądamy z podziwem ich sprzęt, znacznie lżejszy od naszego oraz wręcz wspaniałe wyposażenie zwłaszcza balonów niemieckich. Jednak nie zraża nas to bynajmniej do naszego nowiutkiego „L. O. P. P.“, który ma przecież





Balony podczas napełniania.  
(Widok z lotu ptaka).

także swoje zalety. Nie tracimy otuchy, ufni, że różnice w wyposażeniu technicznym wyrównamy w inny sposób.

Wśród zawodników spotykamy wielu starych znajomych, z którymi polscy baloniarze nieraz stawali „w szrankach“, jeśli się tak można wyrazić, w nieznanym granic bezbrzeżnym oceanie powietrznym — arenie naszych zmagañ i walk w przestworzach. Zawieramy nowe znajomości i ściskamy serdecznie dłonie tych ludzi, których łączy z nami i wiąże wspólna pasja i namiętność. Zapominamy właściwie, że to są nasi rywale, z którymi wypadnie niebawem stoczyć ostry bój. Ostatnie trzy dni przed startem spędzamy wspólnie, często spotykając się w Warszawie w najróżnorodniejszych okolicznościach.

Kulminacyjnym momentem tych dni przed zawodami była

herbatka u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej na Zamku. Zgromadziła ona oprócz zawodników przedstawiciele rządu, wojska, korpusu dyplomatycznego i uczestników obradującego podówczas w Warszawie kongresu międzynarodowej organizacji lotniczej F. A. I.

Nieubłaganie zbliża się chwila startu. Mimo że ostatnie dni są szczerlnie wypełnione obfitym programem przyjęć i wizyt, ani na chwilę nie zapominamy o czekającym nas zadaniu.

Studiujemy z napięciem uwagi rozwijającą się sytuację meteorologiczną, która gotuje nam pod koniec wiele niespodzianek. Jeszcze na dwa dni przed startem wszystko przemawia za tym, że polecimy na południe, do Grecji, Turcji, a może nawet do Afryki lub Azji. Cieszymy się na myśl, że wiatry poniosą nas w nowe, nieznane nam kraje, posiadające dla nas urok egzotyki, że wylądujemy pod błękitnym, południowym niebem. Tymczasem dzień startu niweczy nasze nadzieje. Wiatr



Pan Prezydent Rzeczypospolitej, min. Komunikacji płk. dypl. Ulrych i Prezes Aeroklubu R. P. w łożu reprezentacyjnej.

wykręcił i powiał od zachodu. Polecimy zatem znowu do Rosji! Do kraju, nad terytorium którego przelatywały i w rezultacie lądowały w ostatnich dwóch latach wszystkie prawie balony, uczestniczące w zawodach Gordon Bennetta.

W niedzielę, dnia 30 sierpnia, w dniu startu, przybywamy na lotnisko około południa. Potężne kule balonów napełniane gazem pęcznieją coraz więcej. Zaczynamy się krzątać przy koszu, przygotowując wszystko co jest nam niezbędne do długiego lotu. Nadchodzą co chwila nowe biuletyny meteorologiczne, na temat których dyskutujemy żywo. Porywisty wiatr, który od samego rana zawzięcie targał powłokami balonów, stopniowo słabnie i wróży spokojny start. Zwarta ława nadciągających z zachodu chmur przerywa się i ukazuje się słońce.

Pośpiesznie kończymy porządki w koszu. Właściwie o porządku nie ma mowy, raczej o jakim takim rozmieszczeniu przedmiotów zabieranych w drogę. Ładujemy więc i rozkładamy równomiernie butle z tlenem. Jest ich 12. Każda z nich



Kpt. Janusz i por. Brenk przygotowują kosz.



stanowi użyteczny balast o ciężarze 5 kg. Przytwierdzamy aparat rozdzielczy do tlenu z dwiema maskami do oddychania. Odrzucamy niepotrzebne już mapy i pływaki, gdyż nie liczymy się z możliwością opadnięcia na morze. Przywiązujemy mocno aparaty pomiarowe jak: wysokościomierz, zaplombowany barograf, wariometr (aparat do mierzenia szybkości, wznoszenia się i opadania balonu). Zapasów żywnościowych zabieramy oczywiście nie wiele. Po co później, gdy już będziemy gonić resztkami balastu, wyrzucać je z żalem za burtę. Jest więc chleb, trochę wędlin, są owoce i cukierki, jest przede wszystkim mała bateria termosów z gorącą herbatą. Wreszcie obliczamy najważniejszą część naszego ekwipunku w koszu — to jest balast. Zabieramy ze sobą 62 worki piasku, każdy po 15 kg, czyli ogółem 930 kg tak, że razem z nami, butlami tlenowymi i instrumentami, kosz obciążony jest przeszło 1000 kg.



Ogólny widok na miejsce napełniania balonów.



Tymczasem rozpoczął się już start. W pełnym blasku słońca lśnią na wschodnim nieboskłonie cztery jasne kule oddalających się balonów. Ze skupioną uwagą śledzimy ich lot. Rozrzucone w przestrzeń wskazują nam, czekającym swej kolei, kierunek panujących na różnych wysokościach wiatrów i są plastycznym komentarzem abstrakcyjnych komunikatów meteorologicznych.

Teraz rusza za pierwszymi balonami kpt. Hynek na „Warszawie II“. Startuje jako piąty w kolejce zawodników, a pierwszy z Polaków. Po raz ostatni zaglądamy do raportów meteorologicznych, obserwujemy i komentujemy to, co widzimy na tle nieba. Wymieniamy jeszcze ostatnie uwagi z meteorologiem na temat nasuwających się możliwości lotu, bo niepokoi nas nieco sytuacja nad zatoką fińską. Obawiamy się czy nie wytworzy się tam ośrodek niżu. Zresztą możliwość tę rozważał kpt. Janusz już rano w P. I. M.-ie. Najświeższe dane pozwalają jednak przypuszczać, że niż ten nie zdąży wywrzeć wpływu na nasz lot, że raczej polecimy na wschód.

„Polonia“ kpt. Burzyńskiego podchodzi już do startu. Zatem i nam czas do balonu. Ubieramy się w białe kombinezony, a z ciepłych części garderoby, przygotowanych dla nas w koszu, bierzemy jedynie krótkie wełniane kurtki, resztę zaś, między innymi ciepłe wołokowe spodnie, odrzucamy. Jesteśmy ubrani jak najlżej, w ubraniach sportowych, poza tym swetry, berety, półbuciki.

Już wymieniamy ostatnie uściski z najbliższymi, przyjaciółmi i znajomymi. Padają urywane słowa pożegnań... życzeń. Wskakujemy do kosza, nad którym na słabym wietrze kołysze się lekko srebrzysta powłoka „L. O. P. P.-u“. Po raz ostatni sprawdzamy przyrządy. Kreślimy jeszcze szybko kilka autografów. Już obsługa wolno doprowadza nas do startu.

Słyszymy teraz wyraźnie owacje, jakimi rozentuzjasmowana publiczność żegna startujące balony. Słuchamy poważnych melodyj hymnów narodowych, towarzyszących odlotom

naszych zagranicznych kolegów. W dali odbywa się chrzest niemieckiego balonu „Augsburg“, po raz pierwszy uczestniczącego w zawodach. W dalszym ciągu z ciekawością śledzimy wysokość i kierunek lotu szybujących już w przestworzach balonów. Obok nich wirują w powietrzu tysiące małych barwnych baloników L. O. P. P.-u, wypuszczonych rączkami naszych najmłodszych entuzjastów lotnictwa.

Wreszcie na polu wzlotów zostają ostatnie dwa balony. Przed nami żołnierze w zwartym szeregu prowadzą przedostatni balon na start. Już płynie w powietrzu. Teraz kolej na nas.

Całe zainteresowanie publiczności skupia się na naszym „L. O. P. P.-ie“. Witają nas żywiołowe oklaski, gdy balon majestatycznie posuwa się do miejsca startu, na uwięzi przytrzymujących go lin. Dumnie kołysze się srebrno - popielata kula, wyrывая się z rąk obsługi.

Jesteśmy na miejscu startu. Dopiero teraz widać z kosza falujące morze głów ludzkich. Na chwilę cichnie jednak zgłęb i we względnej ciszy odbywa się tradycyjny obrzęd chrztu naszego balonu. Zbliżają się rodzice chrzestni „L. O. P. P.-u“, pani ministrowa Ulrychowa i pan wiceminister Bobkowski. Pęka z hukiem butelka szampana, roztrzaskana o burtę kosza.

Na pamiątkę tej podniosłej chwili otrzymujemy w darze od rodziców chrzestnych piękne ryngrafy z wizerunkiem Matki Boskiej. Będą nam one towarzyszyć w naszej podniebnej wyprawie i nie rozstaniemy się z nimi ani na chwilę, ufni, że będą nam puklerzem ochronnym w najniebezpieczniejszych nawet sytuacjach, że pomogą pokonać wszystkie trudności i razem z nami powrócą do kraju.

Teraz porywa nas już wir startu, ogarnia emocja, która każe żywiej bić sercom. Kpt. Janusz podaje oficerowi startowemu ilość balastu. Notujemy dokładny czas i jeszcze raz od-



Start.

ważamy balon. Wśród serdecznych życzeń przyjaciół idą szybko za burtę dwa worki piasku, aby zapewnić balonowi swobodny start.

Pada komenda: — puszczaj balon!

Lot rozpoczął się. W ostatniej chwili ktoś wrzuca nam do kosza paczkę herbatników. Jest godzina 17 minut 57.



#### IV.

#### LOT \*).

Balon unosi się powoli ku górze. Przesuwa się przed trybunami, wywołując, na cześć polskiego balonu kończącego tegoroczny start, niemilkące owacje. Przy dźwiękach hymnu narodowego mijamy wyprężeni łóżę Pana Prezydenta i powoli oddalamy się ku wschodowi. Jeszcze długo towarzyszą nam pożegnalne sygnały syren samochodowych, a zgromadzona na placach, ulicach, a nawet dachach ludność Warszawy z żywym przejęciem śledzi nasz lot. Przyrzekamy jej w duchu uczynić wszystko co jest w naszej mocy, by nie zawieść nadziei, pokładanych w balonie „L. O. P. P.“.

W milczeniu, pełnym skupienia, żegnamy opustoszały już dziś pałacyk Belwederu, śniący w ciszy parku Łazienkowski.

Coraz większa przestrzeń dzieli nas od śródmieścia. W miarę wznoszenia się balonu cichną echa entuzjastycznych okrzyków. Jeszcze tu i owdzie odzywają się pojedyncze głosy. Jeszcze jedno chóralne „Niech żyje!“ dolatuje nas z łodzi, zgromadzonych na Wiśle. Dziękujemy, rzucając kilka kwiatów, którymi przed startem przystrojono nasz kosz i już na dobre opuszczamy granicę stolicy.

---

\*) Rozdział opracowany przez Kpt. Janusza, był drukowany w prasie codziennej.



Start balonu L. O. P. P.

Dookoła nas panuje, niezmacona najlżejszym szelestem, cisza. Będzie ona teraz nieodłącznym naszym towarzyszem, aż do końca lotu. Tymczasem w koszu trzeba przecież zaprowa-

dzieć jaki taki ład. Część worków rozwieszamy na zewnątrz, a u burty, również od strony zewnętrznej, umocowujemy deski nawigacyjne dla map, kompasów i innych przyborów. Poza tym wypuszczamy antenę i przeciwwagę, oraz włączamy radioodbiornik, który będzie jedynym naszym łącznikiem ze światem.

Słońce na zachodzie zginęło tymczasem gdzieś za chmurami. Wyrastają one z horyzontu gęstym zwałem. Musimy więc uważnie śledzić, czy nas aby nie doganiają. Jakgdyby unieruchomiony wisi na ich szarym tle balon „Legionowo“. A tuż pod nim, z pola Mokotowskiego, odrywa się właśnie od ziemi srebrzysta kula „Syreny“.

Smugi wieczornych oparów przyziemnych zacierają już kontury miejsca startu. Wylaniająca się z tych mgieł „Syrena“ stanowi dobrze widoczny punkt, na który wizujemy skwapliwie kompasem, by ustalić nasz dotychczasowy kurs. Podążamy na wschód — to prawda — lecz stwierdzamy przy tym pewne odchylenie ku południowi. Nie jest to zgodne z naszą intencją. Wolałbym raczej odchylenie ku północy, przynajmniej w pierwszych godzinach lotu. „L. O. P. P.“ ma jednak widocznie inną koncepcję, gdyż z uporem trzyma się na prawym, południowym skrzydle grupy balonów.

Pierwsze z nich giną już w zapadającym zmroku. Natomiast dobrze jeszcze rozróżniamy lecącą przed nami „Polonię“ kpt. Burzyńskiego. Widok tego balonu, który przed dwoma laty, resztkami gazu, dowlókł kpt. Wawszczaka i mnie do zbawiennej wyspy na jeziorze Sajma w Finlandii, budzi we mnie szczególne uczucie. Prócz tego z lewej strony, znacznie niżej od nas, leci jeszcze pilot Franck na balonie „Augsburg“. Dostrzegamy go wyraźnie, albowiem jego światło pozycyjne błyszczy jasno.

Od pewnego czasu „L. O. P. P.“ utrzymuje się w równowadze, której bynajmniej nie mamy zamiaru naruszać. Każde bowiem 100 m wzniesienia wymaga w tej fazie lotu pozbycia się 15 kg balastu. Rozglądamy się uważnie, jakie kierunki wia-



tru i jaka jego szybkość panują w górze nad nami. Jakby na zawołanie pęk baloników wypływa właśnie na tło nieba, które coraz wyraźniejszą linią odcina się od szarzejącego podłoża ziemi. Baloniki lecą już ponad nami, lecz jakoś przez czas dłuższy nie spostrzegamy, żeby się ku nam zbliżały. Dopiero później, gdy osiągnęły już wysokość około 700 m, widzimy, jak skręcają w prawo i zwolna poczyną nas doganiać. Lecz cóż, zaobserwowana przez nas zmiana ien lotu bynajmniej nam nie odpowiada.

Pozostajemy więc przy swoim kierunku i mijamy o godzinie 19,55, czyli po dwóch godzinach lotu, na wysokości 380 m. Siedlce. Zużyliśmy dotąd 6 worków balastu. Dogania nas tu jeden z naszych balonów pocztowych. Co prawda dzieląca nas odległość jest zbyt duża, byśmy się mogli porozumiewać. W ciągu pół godziny lecimy dość zgodnie obok siebie. Niekiedy tylko nasz towarzysz ginie w rozpościerającej się pod nami ciemnej otchłani, to znów dostrzegamy jego światło pozycyjne ukosem, wysoko ponad nami. Gdyby tak zechciał wzbić się w górę — myślę sobie — i w ten sposób wskazał nam panujące tam kierunki wiatrów. Pilot, jak gdyby odgadł moje pragnienie, wznosi się rzeczywiście wyżej i trafia w ów szybszy prąd odkryty przez nas dzięki balonikom i nieustannymi błyskami świetlnymi zaprasza nas, byśmy poszli jego śladem. Lecz my nadal trwamy przy swoim kierunku.

O godz. 20,30, idąc azymutem 100°, a więc prawie wprost na wschód, mijamy na wysokości 400 m miejscowość Łosice. Szybkość lotu dochodzi do 45 km na godzinę. Z położenia nikłych zresztą światła raczej odgaduję, niż widzę pod sobą tereny, na których walczyłem w sierpniu 1920 r. w szeregach spieszonego wówczas 1 pułku aeronautycznego.

Sądziłem, że szybkość lotu wyniesie w pierwszej fazie około 30 km na godzinę. Ostatnie jednak pomiary wykazują stały jej wzrost. Ten przyrost szybkości staje się wnet między nami tematem ożywionej dyskusji. Coraz wyraźniej zdaje sobie sprawę, że rozwój sytuacji meteorologicznej nie idzie po li-



nii naszych przewidywań i że stanowczo nie docenialiśmy owego spadku ciśnienia nad północnym Bałtykiem. Trzeba się więc upewnić i być na straży.

Spadochroniki, oświetlone przy pomocy małej bateryjki „Mikro“, które wypuszczamy teraz z kosza w krótkich odstępach czasu, wykazują w przyziemnych warstwach powietrznych skręt ku północy. Potwierdza to jeszcze nasze obawy. To też oczekujemy z napięciem radiokomunikatu meteorologicznego z Warszawy. Nie przeszkadza nam to jednak pomyśleć o jedzeniu i wypoczynku. Raczymy się kilkoma kęsami kanapek i gorącą herbatą z termosą, po czym za moją namową por. Brenk rozciąga się na ławce, by bodaj przez krótki okres czasu przespać się.

Zwrot dostrzeżony w kierunkach dolnego wiatru a przede wszystkim wzmożenie jego szybkości nie daje mi spokoju. O ile przed tym lekkie odchylenie lotu ku północy wydawało mi się pożądane i nawet wszelkimi sposobami dążyłem do tego, by je zrealizować, to teraz chciałbym koniecznie ustrzec „L. O. P. P.“, by nie opadł niżej i nie zboczył czasem ku północy.

Nad Kobryniem, który mijamy o godz. 23, rzucam meldunek, wraz z oświetlonym spadochronikiem. Stwierdzam wyraźnie, że pod nami wiatr porywa go już na północny - wschód. Zresztą wpływ tego skrętu daje się i nam wkrótce odczuć. Po pewnym czasie lecimy azymutem już tylko 70°. Spostrzegłszy to, prawie odruchowo wyrzucam 2 worki piasku. Wznoszący się balon trafia w dogodniejszy prąd. Stwierdzam z poczuciem ulgi, że zdołałem szczęśliwie wydostać się z opresji oraz poprawić odchyłony kurs, co prawda tylko o 20°. W każdym jednak razie posuwamy się na wschód.

Wreszcie nadchodzi upragniony komunikat meteorologiczny z Warszawy. Odbieram skrzętnie pomiary wiatrów górnych z Białegostoku, Pińska i Lwowa, a gdy według nich wykreślam położenie frontów, widzę niestety, że spadek ciśnienia na Bałtyku przekształcił się niespodziewanie szybko w ośrodek niżu o dużej żywotności. Nie ma co się łudzić, wyrwie to

niebawem decydujący wpływ na nasz lot. Nie ma już mowy o locie w kierunku prostym. Prędzej, czy później będziemy musieli skrócić ku północy, zataczając łuk dookoła bałtyckiego niżu. Chodzi teraz jeszcze tylko o to, by ten łuk zatoczyć możliwie najpóźniej i możliwie jak największym promieniem. Niepokój, który mnie bądź co bądź nurtuje, udziela się widocznie i mojemu towarzyszkowi. Właśnie w tej chwili budzi się i wypytuje o szczegóły komunikatu warszawskiego. Tymczasem jednak udaje nam się lecieć wciąż jeszcze w kierunku wschodnim. Równocześnie zdajemy sobie dobrze sprawę, że za żadną cenę nie wolno nam zejść niżej. Chociaż front chłodny — front zaburzeń dogania nas, jednakże dzieli nas od niego jeszcze dość znaczna odległość. W okresie przysłowiowej, a w danym wypadku dosłownej ciszy poprzedzającej burzę zdaję pilotowanie Staszewi i z kolei sam rozciągam się na ławce, by w krótkim śnie pokrzepić siły, potrzebne na czas, gdy trzeba będzie stoczyć walkę z żywiołem.

Rankiem dnia 31 sierpnia, budząc się po krótkiej drzemce, dostrzegamy przebliski nadchodzącego świtu. Chłód poranny dokucza nam już na dobre, lecz troska, jakim kursem posuwamy się obecnie, każe nam zapomnieć o przejmującym zimnie. Pomimo naszych wysiłków droga lotu zbacza już nieco ku północnemu - wschodowi. Całą nadzieję pokładamy teraz w budzącym się dniu, pewni, że nawet poprzez gęste chmury słońce potrafi ogrzać gaz naszego „L. O. P. P.-u“, ufni, że dzięki temu, z godziny na godzinę będziemy się wznosić wyżej, gdzie spodziewamy się napotkać dogodniejsze wiatry.

Tymczasem teren pod nami szarzeje. Rozróżniamy już zarysy bagnistych łąk i gdzieś tam ciemne plamy borów. Z ciekawością rozglądamy się po niebie w poszukiwaniu innych balonów, gdyż w nocy niejednokrotnie odnosiliśmy wrażenie, że gdzieś w oddali migocą ich światła pozycyjne. Napróżno jednak wypatrujemy dookoła naszych współzawodników. Jaką wybrali taktykę, gdzie się obecnie znajdują — oto pytania, które zaprzątają naszą myśl.

Krótko przed godziną czwartą docieramy do granicy polskiej i po chwili znajdujemy się już nad terytorium Z. S. R. R. Pod nami wyrastają mgły poranne. Wznoszą się wyżej, odrywają od ziemi i przekształcają w obłoki. W obramowaniu szarych płatów chmur (jak w filmie) przesuwają się pod nami ku zachodowi coraz to nowe szczegóły terenu. Mijamy właśnie jakiś kołchoz. Ludność wiejska zgromadzona w polu przy pracy wita nas okrzykami i śnać żywo komentuje niecodzienny fakt przelotu polskiego balonu nad Białorusią.

Por. Brenk dziwi się, że ludzie pracują tu o tak wczesnej porze. Zegarki nasze wskazują przecież dopiero godz. 4,30. Z poczuciem „wyższości“ pilota, obytego z tutejszym terenem — (raz jeden lądowałem już w Z. S. R. R.) — objaśniam mu, że znajdujemy się nad krajem, gdzie obowiązuje już inna rachuba czasu, że należałoby właściwie przesunąć wskazówki naszych zegarków o dwie godziny naprzód.

Gdy około godz. 6,30 dolatujemy do miejscowości Stare Drogi, gdzie biwakowałem w pierwszych dniach lipca 1920 r., wysokość lotu wynosi już ponad 1000 m. Dotychczas tworzące się pod balonem obłoki wydawały się nieruchome. W miarę jednak wznoszenia się „L. O. P. P.-u“ obłoki ożywiają się nagle i cała kawalkada ich rusza ku północnemu - wschodowi. Ruch ten jest oczywiście względny. To raczej balon nasz w stosunku do nich przesuwa się w prawo i wyprzedza je.

Pochyleni nad mapami wykreślamy teraz dalszą, domniemaną trasę lotu i notujemy dla orientacji czasy, w których przelatywać winniśmy nad większymi rzekami i ważniejszymi osiedlami. Najbliższe z nich — to Bobrujsk, który winniśmy dostrzec już za kilka minut. W licznych zakrętach wiję się przed nami szara wstęga Berezyny, a tam na południowym - wschodzie poprzez obłoki dostrzegamy wreszcie rozległe zarysy miasta. I z ziemi widocznie nas dostrzeżono. Gdy wskazuję Staszкови miejsce, gdzie przed laty kwaterował 1 baon aeronautyczny, skąd kiedyś wznosił się nasz balon obserwacyjny, warkot nadlatującego właśnie samolotu przerywa otacza-



jącą nas ciszę. Już z dala wymieniamy koleżeńskie pozdrowienia z pilotem sowieckim, po czym płatowiec pożegnalnym wirażem kieruje się ku lotnisku. Muszę przyznać, że widok sowieckiego samolotu tu nad Bobrujskiem budzi we mnie szczególnie żywe wspomnienia. Wszakże w r. 1920, jako obserwator balonowy byłem świadkiem niejednej wizyty, złożonej nam przez lotników sowieckich, choć wówczas obowiązywał obie strony nieco inny ceremoniał przyjęć.

Lecz nie czas na wspomnienia, skoro coraz trudniejsze warunki lotu zmuszają do skupienia uwagi na pilotowaniu. Po chwili jesteśmy już całkowicie pogrążeni w chmurach. Łuki, przez które widzimy ziemię, trafiają się już coraz rzadziej. Potem nie widać już w nich ziemi, a tylko od czasu do czasu spostrzegamy warstwę dolnych chmur.

Dotychczas gnębiła nas jedynie świadomość nadchodzących zaburzeń atmosferycznych. Obecnie zaczynają się pojawiać pierwsze oznaki niepomyślnych zmian. Przyszły w postaci najmniej pożądanej, bo dookoła balonu poczynają tańczyć pierwsze, z pozoru tak niewinne, płatki śniegu. Przypominam sobie, jak to w r. 1932, w locie z Bazylei, obaj z kpt. Pomaskim przeżyliśmy nad Sudetami, wśród wzmagającej się śnieżycy, naprawdę ciężkie chwile i z trudem tylko wydostaliśmy się z opresji, która zmusiła do lądowania prawie połowę balonów.

Nie inaczej też poszło mi z kpt. Wawszczakiem w locie do Finlandii, gdzie deszcz ze śniegiem towarzyszył naszemu balonowi niemal od samego startu, nad całą Litwą, Łotwą, nad Z. S. R. R., zatoką Fińską i Finlandią, prawie przez pełne 20 godzin. W obydwu wypadkach skończyło się to, na szczęście tylko kąpielą w jeziorze.

Tymczasem opady śnieżne przybierały na sile. Cóż dziwnego, że nurtowały mnie myśli, zabarwione obawą, co też będzie dalej? Wszak w locie o puchar pułk. Wańkowicza, który odbyłem w r. 1931, wspólnie z kap. Menschem, takie masy śniegu zwały się na nasz balon w przeciągu kilku zaledwie minut, że pomimo 400 kg zrzuconego balastu, balon już nie opadał, lecz



rwał się wprost ku ziemi. Chociaż z owego lotu pozostała mi niekoniecznie miła pamiątka, w postaci kilku złamanych żeber, naprawdę nie o tym myślę w danej chwili, lecz o groźbie przedwczesnego zakończenia lotu w tej narastającej wciąż śnieżycy.

Z jakąż więc ulgą stwierdzam, że ten atak stopniowo traci na mocy i mija bez poważniejszych następstw. Kosztem około 10 worków balastu udaje się nam wydostać z chmur, a po pewnym czasie, na wysokości około 4000 m, trafiamy nawet w pełne słońce. Co prawda przykro, że nie trwa to długo i niebawem słońce ginie poza warstwą chmur jeszcze wyższych, z których sypią się na nas, jakby dla odmiany drobniejsze już śnieżynki. Lecz i to mija. Dostrzegamy niebawem tarczę słońca, blade przyświecającą przez chmury i nabierającą stopniowo pełniejszego blasku. Ta ciuciubabka słońca w chmurach powtarza się przez długie dwie godziny. Do niej dostosowują się wahania temperatury gazu naszego balonu — wahania siły podnośnej. Zmienia się to tak szybko, w amplitudach tak nieregularnych, że nie zawsze zdążamy na czas zneutralizować balastowaniem wpływ tych wahań. To też prawie że jesteśmy zadowoleni, gdy słońce o godz. 13-ej na wysokości 4000 m znika nam ostatecznie za parawanem chmur. Niestety wpadamy znowu w śnieżycę. Pomimo ciągłego balastowania zwolna tracimy na wysokości, skutkiem czego unikamy wreszcie opadów śnieżnych, przeistaczających się w niższych strefach w rzęsy deszcz.

Opadając powłoka przybiera gruszkowaty kształt. Śnieg na niej topnieje. Strugi wody ściekają do kosza. Wobec tego zalewu jesteśmy zupełnie bezradni. Mniejsza zresztą o nas, gorzej, że deszcz niemiłosiernie znęca się nad naszymi mapami, a szczególnie nad odbiornikiem, w którym na skutek wilgoci powstają zwarcia w bateriach i przewodach. Przerywa się więc łączność z krajem. Nie usłyszymy więcej komunikatów meteorologicznych i radiowych. Milknie dla nas idące ku nam z kraju wszelkie polskie słowo, którego wartość moralną, w na-

szym odosobnieniu, odczuwaliśmy tak silnie. Zawodzi bezpośrednia orientacja, zawodzi pomiar astronomiczny, a teraz nawet i radiogoniometria. Dokąd więc kieruje się nasz balon? Odpowiedź dają nam już tylko same hipotezy — kurs ostatnich godzin i wyczucie sytuacji meteorologicznej.

Nie ma rady — trzeba po prostu wytrwać i przeczekać cierpliwie moment niepewności. W tej sytuacji trwamy do godz. 19-tej. Gwałtowne dotychczas deszcze słabną nieco, chwilami nawet ustają. Przyjmujemy to z poczuciem wielkiej ulgi. A gdy balon zbliża się ku ziemi, nie przeciwdziałamy temu, nie mogąc wprost doczekać się chwili, kiedy wyjdzie z chmur. Jest to przecież dla nas jedyna możliwość uchwycenia orientacji. Pierwsze szczegóły terenu chwytny z wysokości 400 m. Wyteżając uwagę, z kompasem w ręku stwierdzamy teraz kurs. Strzępy niższych chmur, sięgających prawie tuż nad ziemią, przesuwają się ku północy, my natomiast idziemy na wysokość 300 m jeszcze kursem N. 30° E.

Już tylko 40 m dzieli nas od ziemi. Przelatujemy prawie nad głowami ludzi, zgrupowanych przy moście opodal jakiejś wsi. — Kakoj rejon — kakaja dierewnia? — pytamy. Niestety odpowiedź ginie w poszumie przyziemnego wiatru i wśród głośniego poszczekiwania psów. Mimo wszystko sprzyja nam jednak szczęście, bo nagle nadlatujemy nad dużą rzeką, na wschód zaś od niej widnieją światła dużego miasta. Moskwa, czy też Twer? Rzucamy się do rozmokłych map, by w kształcie dróg i torów znaleźć odpowiedź. Tymczasem w chmurach pod nami słyszymy turkot pociągu. Idzie on ku nam od zachodu. Gdzieś obok toru, po autostradzie z łoskotem mkną jakieś niewidzialne dla nas samochody. Tam znów na północ poprzez lukę w chmurach wyraźnie migocą czerwone błyski sygnałów kolejowych. Widzimy nawet pociąg sunący ku nam od strony zagadkowego miasta. A tu czyż nie wylania się z poświaty potężny, rwący się w górę masyw zabudowań? Czy to nie Kreml? — Bo przecież sieć dróg i torów wydaje się zbyt rozwinięta, jak na Twer. A przede wszystkim kierunki ich i ilość bynaj-

mniej nie odpowiadają temu, co wykazuje mapa. Niestety daremnie wysiłam wzrok, by odkryć choć najmniejszą konstelację gwiazd. Jakże chętnie przeprowadziłbym teraz pomiar astronomiczny, by otrzymać choćby tylko szerokość, chociaż jeden element tego pomiaru. Tymczasem poprzez luki chmur widnieją coraz to nowe dzielnice miasta. Nie trwa to jednak długo. Po chwili ostatnie rozrzucone światła giną gdzieś za nami na południu.

Za długo już tego pobytu na dole. Skoro bowiem nie da się tu osiągnąć wyraźnej orientacji, trzeba będzie jej poszukać w górze. Tym więcej, że dolne wiatry wciągają nas do środka niżu, od którego dotychczas starałem się odsunąć możliwie jak najdalej. Zostało nam już tylko 300 kg piasku. Co prawda dotąd nie używaliśmy jeszcze wcale tlenu. Poważny rząd butli stanowi w tym wypadku cenne dla naszego „L. O. P. P.-u“ obciążenie. A więc w górę.

W świetle jedynej lampki elektrycznej, która jakoś szczęśliwie ocalała, pomimo ulewnych deszczów, spostrzegamy, że w miarę wznoszenia się wygładzają się powoli fałdy powłoki balonowej. Wskutek panującego w górze znacznie niższego ciśnienia, rozszerzający się gaz ulatnia się przez rękaw. Stwierdzamy to po zapachu docierającym do kosza. Pomimo jednak że wzbiliśmy się na wysokość 5000 m, jakoś nie widać gwiazd. W przemokłych ubraniach, podwójnie odczuwamy wzmagający się mróz, który skuwa nas istną skorupą lodu. W tej sytuacji z lubością odczuwamy dobroczynną rolę zabranych ze sobą grzejników i czekamy cierpliwie wyjaśnienia się sytuacji. Lot nasz odbywa się już teraz wśród ciągłych wahań wysokości między 5000 a 1000 m. Nareszcie, przy trzecim wypadzie ku górze dostrzegamy około godz. 23-ej gwiazdę polarną i kilka gwiazd z konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy. Wystarczy mi to, by wykonać wreszcie pomiar. Po chwili wiem już, że znajdujemy się pod 38-ym stopniem na wschód od Greenwich i pod 59-ym stopniem północnej szerokości.

Jeśli miasto widziane przez nas przed czterema godzina-



mi było istotnie Moskwą, to kurs obecny prowadzi już wprost na północ, a szybkość lotu przekracza 80 km na godzinę. Jeśli zaś był to Twer, to posuwamy się wciąż jeszcze nieco ku wschodowi, z szybkością 60 km na godzinę. Roztropność nakazuje wziąć oba warianty pod uwagę. Wyjaśnienie tej sytuacji musimy z konieczności odłożyć na później.

W ciągu nocy dwukrotnie przedzieramy się przez śniegi w górę. Trzeba przecież wykonać bodaj jeden jeszcze pomiar astronomiczny i ustalić położenie. Niestety teraz szczęście nam nie sprzyja. Wprawdzie oba razy zbliżamy się do pułapu 5000 m, lecz i tam również otaczają nas nieprzeniknione ciemności i nie dostrzegamy ani razu upragnionych gwiazd. Po każdym takim wypadzie „L. O. P. P.“ jak gdyby wyczerpany nadmiernym wysiłkiem opada ku ziemi, skąd poprzez chmury wyraźnie dochodzi nas huczący poszum lasów, uginających się pod silnym naporem wichru.

Dnia 1 września o godzinie 4-ej nad ranem, po dziewięciogodzinnym locie w chmurach, wśród nocnej szarugi, to znów w bieli gęstej mgły wreszcie oglądamy ziemię. Lecz w jakże niezwykłych warunkach. Nigdy jeszcze nie widziałem podobnego kotłowiska chmur, rwących w rozszarpanych kłębach, — tam ku górze, ówdzie ku dołowi. Porwał nas ten szalony wir. Wciąga balon ku niebu, to znów zdusza aż po wierzchołki drzew. Mkną pod nami bagna i lasy, to znów na przemian wchłaniają nas obłoki, z których nagły poryw wiatru ciska nas na jakieś kępy, pokryte rdzawo - żółtym sitowiem. Zrzucamy balast i czekamy wyniku. Nerwy napięte do ostateczności. W pewnej chwili cudem unikamy zderzenia z ziemią. „L. O. P. P.“ rwie w górę i wydobywa się wreszcie z tego niesamowitego kłębowiska.

Przychodzi odprężenie. W miarę wznoszenia się słabnie szum drzew docierający do nas z dołu. Niebawem mąci tylko ciszę jednostajne bębnienie deszczu o powłokę.

Lecz jaka była szybkość, jaki kurs przy ziemi?

Niestety! Zdołaliśmy już tylko stwierdzić, że droga lotu, na wysokości 200 m prowadzi jeszcze ku północy, poniżej już istnieje skręt ku zachodowi, który zgodnie oceniamy na 20°. Skąpy to wprawdzie wynik obserwacji, lecz pomimo wszystko pozwala dojść do wniosku, że jądro niżej niebawem zostanie poza nami.

Z chmur deszczowych wychodzimy na wysokość około 2.000 m. Stwierdzamy, że szybkość na tej wysokości zmniejsza się. Po chwili znów trafiamy w strefę opadu śnieżnego, który jednak wkrótce ustępuje. Nad nami ukazuje się zwarta ława wysokich chmur. Czasem za nimi zarysowuje się ledwie dostrzegalna tarcza słoneczna, pozornie przegania chmury, przesuwające się ku północy. Wnioskuje z tego, że szybkość w górnych warstwach atmosfery jest jeszcze mniejsza.

Co robić? Czy lecieć wyżej, czy zejść znów na dół? Trudno to rozstrzygnąć. Dopiero po napotkaniu w górze silnego opadu śnieżnego, decyduję się na dalszy lot w dolnych warstwach.

Do tej chwili notowaliśmy w książce lotu nasze obserwacje, a więc: kierunki wiatrów, szybkość, wysokość, czas, dalej temperaturę powietrza i gazu, oraz niektóre ważniejsze spostrzeżenia. Notatki nasze, początkowo szczegółowe, stają się coraz bardziej lakoniczne. Niekiedy wśród deszczu i śniegu urywają się nagle, lecz zawsze powracamy do nich. Teraz jednak pod tym względem następuje zmiana. Mam wprawdzie zanotowaną decyzję obniżenia lotu z godziny 6-ej, oraz ilość balastu, który wówczas wyrażał się cyfrą 12 worków piasku. Lecz silny deszcz, w jaki trafiamy obecnie, uniemożliwia nam jakikolwiek zapis. Ulewa staje się szczególnie dokuczliwa, jesteśmy bowiem wyczerpani całonocnym czuwaniem i zziębnięci. Z map powoli robią się szmaty. Zewsząd leje się woda. Szukamy miejsca, gdzie moglibyśmy się przed nią schować. Z deski nawigacyjnej i pokrowca na kosz w jednym z jego kątów urządzamy rodzaj skrytki, służącej nam jako schronienie. Chowamy tam kompas, chwilowo nieczynny radioodbiornik,

barograf i szczególną opieką otaczaną przez nas mapę Europy. Wodę ściekającą do wnętrza kosza staramy się odprowadzić na zewnątrz, by nie obciążała balonu. Sporządzamy z tektury rynny, po których woda spływa strumieniami. Z rozmiękłych opakowań, które przy lada potrąceniu rozdierają się, wysypuje się żywność i miesza z piaskiem na dnie kosza. Powłoka, sieć, worki balastowe są do tego stopnia nasycone wodą, że nie mogą wchłonąć więcej wilgoci.

Stajemy się mrukliwi — widocznie ulewa wpływa tak na nasz nastrój. Balonu jednak nie zdoła już więcej obciążyć. To też straty balastu są teraz stosunkowo mniejsze, chociaż ustawicznie zmienia się wysokość lotu. Na 500 m trafiamy nawet w coś w rodzaju warstwy inwersyjnej, w której wszelkie opadania balonu samoczynnie zanikają.

Przed samą godziną 8-mą na dość nikłej wysokości ukazują się fragmenty ziemi. Widać jakąś rzekę i las. Kurs wykazuje teraz odchylenie  $20^{\circ}$  ku zachodowi. Wkrótce teren znika nam z oczu i na nowo spowijają nas chmury deszczowe. Wywiązuje się dyskusja, w której por. Brenk zastanawia się, czy aby przy obecnym kursie nie tracimy na odległości od Warszawy. Należy pamiętać, że odległość od miejsca startu balonu do jego lądowania nie oblicza się wzdłuż drogi lotu, lecz po linii prostej. Na podstawie mapy dochodzimy do wniosku, że wciąż jeszcze zyskujemy na odległości, zaczęlibyśmy tracić dopiero przy kursie N  $50^{\circ}$  W. Poza tym przemawia na naszą korzyść, że pomiary, dokonane tuż nad ziemią, nie obrazują z całą dokładnością naszej trasy. Przecież średnia wysokość naszego lotu jest znacznie większa, a tam wiatry skracają zawsze więcej w prawo. Tę zasadę, znaną z meteorologii, potwierdziły zresztą wszystkie nasze dotychczasowe obserwacje.

Niestety, lot nasz skończył się zupełnie inaczej niż to sobie wyobrażaliśmy.



## V.

### ZDERZENIE.

Lecimy dość nisko z szybkością 60 km na godzinę. Wysockościomierz wskazuje od 400 do 500 metrów.

Nagle wśród chmur, tuż przed nami, najnieoczekiwaniej wyrastają jakieś drzewa. Wichura pędzi nas wprost na ścianę lasu, jak gdyby zawieszonego w powietrzu. Chwytny co jest pod ręką i wyrzucamy za burtę worki, butle z tlenem. Zanim dostaliśmy się do dalszych zapasów balastu, zawieszonego po zewnętrznej stronie, kosz nasz wali już w drzewa, łamiące się z łoskotem. Gwałtowny wstrząs rzuca nas na burtę, która nagle znika gdzieś pod nami. Trzymamy się kurczowo olinowania, podczas gdy kosz ślizga się bokiem po wierchołkach trzeszczących drzew, obalając całe pnie, odłamując grube konary. Uderzenie wiatru przygniata powłokę balonu i rzuca nią przed nami na drzewa. Splot gałęzi tworzy nagle przeszkodę, wstrzymującą kosz w jego oszalałym pędzie. Raptem przeszkoda ta puszcza kosz z uwięzi i balon porywa nas znowu za sobą, w straszliwym rozkołysaniu ciskając nami o nowe drzewa, łamiące się jak zapalki.

Znów zahamowanie i nowy wstrząs. Zwisający kawał drutu zaczepia się o konary i przez chwilę trzyma nas na uwięzi. Butle tlenowe na skutek wstrząsów urywają się ze swych umocowań i przetaczają z burty na burtę, obijając się o nasze nogi. Jedna z nich wpada między nas i wylatuje za burtę.

Trzask, pękają jakieś hamujące nas więzy i znów skok gwałtowny w górę i niemniej szybki spadek w dół. Za wszelką cenę staramy się oderwać od lasu i wzbić się wyżej. Naprawdę. Poryw przytłaczającego prądu chwyta rozbudzony balon i ciska między drzewa. Koniec. Powłokę balonu przebija jakiś ostry konar i rozrywa ją na całej długości. Odczuwamy niemal ból fizyczny, słysząc przeciągły chrzęst rwącej się tkaniny i syk ulatniającego się gazu.

Rozdarta na trzy części powłoka opada, zwisając bezwładnie aż ku ziemi. Jeszcze ją podtrzymuje sieć, zaplątana o konary drzew. Kosz walący się w dół zatrzymuje się nagle, po czym w miarę opadania powłoki obsuwa się, aż wreszcie zawisa na wysokości dwóch metrów nad ziemią.

Zapanowała cisza. Ogarnia nas straszliwe przygnębienie z powodu uczucia zupełnej bezsily wobec przewagi żywiołu, tej siły wyższej, która zniszczyła nam balon i zmusiła do przerwania lotu. Nie chcemy wprost myśleć o utraconych w tak tragiczny sposób możliwościach zwycięstwa. W niemej rozpaczyc zaciskamy pięści i odwracamy oczy, aby nie widzieć szarpanej przez wiatr, postrzępionej powłoki.

— Poszedł L. O. P. P. — pójdziemy i my! — oto pierwsza myśl, która przelatuje przez głowę kpt. Janusza, z czego zwierza mi się później. Mimo wszystko górę bierze poczucie obowiązku, który każe mi odstawić barograf i zanotować czas. Jest równo godzina ósma, według czasu środkowo-europejskiego.

Dopiero ósma rano!

Świadomość tak wczesnej pory budzi w nas nową falę goryczy, żalu i smutnych refleksyj. Mieliliśmy przed sobą co najmniej jeszcze osiem godzin lotu. Śmiało moglibyśmy lecieć do godziny piętnastej, to jest do chwili, kiedy ochłodzenie się gazu zmniejsza objętość balonu i zarazem jego siłę podnośną. Przecież mieliśmy jeszcze około 130 kg balastu użytecznego wraz z butlami tlenowymi i różnorodnym sprzętem, który w razie potrzeby mógłby pójść za burtę.

Myśli nasze wędrują do kraju i potęgują jeszcze nasze przygnębienie. Zdajemy sobie sprawę, że nie spełniliśmy włożonego na nas zadania i obowiązku wobec społeczeństwa, które żegnało nas z taką ufnością. Jesteśmy przekonani, że katastrofalny wypadek wyeliminuje nas z szeregu czołowych zawodników. Liczymy się z tym, że się znajdziemy gdzieś na najdalszym szarym końcu, może nawet na... ostatnim.

Nie znamy nawet dokładnego położenia naszego miejsca lądowania. Wiemy tyle tylko, że znajdujemy się w okolicach Morza Białego, nic ponadto. Taką odległość od Warszawy uważamy za daleko nie wystarczającą. Nie dokładna mapa tych okolic, na której nie są nawet oznaczone osiedla ludzkie, ani mniejsze rzeki, uniemożliwia nam wszelką orientację.

Zastanawiamy się dalej, jak wytłumaczyć sobie nagle ukazanie się lasu na tej wysokości i jak wyjaśnić fakt, że pozwoliliśmy się zaskoczyć tak sromotnie. Przypisujemy winę niedokładności mapy, na której nie zaznaczone są wzniesienia terenu, oraz na różnicę wysokości między miejscem startu w Warszawie, a lesistymi garbami w tych okolicach.

Wreszcie otrząsamy się z posępnych myśli, gdyż i tak nic nam już nie pomogą i nie wskrzeszą balonu i rozglądamy się w sytuacji.

Pada rześisty deszcz. Chmury pędzą nisko tuż nad konarami drzew, szarpane porywistymi technieniami wiatru. Otacza nas las sosnowy, podszyty kępami mchu, wśród których czernieją miejscami pasma błot i połyskują ciemne kałuże stojących wód, oraz jaśnieją rzadsze skupiska drzew tworzące plamy. Wokół nas żadnego śladu życia. Moczary i bagna. Słyszać tylko zawodzenie wiatru, szum puszczy i miarowy plusk deszczu, uderzającego biczem gęstych kropli w bezwładną powierzchnię powłoki balonu. Beznadziejny krajobraz przytłaczający swą ponurością.

Pozostajemy dłuższą chwilę w koszu, oszołomieni przebytą katastrofą. Wyczerpani dwoma bezsennymi nocami, zziębnięci, przemoczeni i senni milczymy. Byliśmy również głodni,



lecz w danej chwili nie odczuwaliśmy nawet głodu. Dotkliwie potłuczeni, krwawimy kilku lekkimi ranami, lecz zapominamy o tym.

Co robić dalej? Kpt. Janusz czuje nieprzewycięzoną potrzebę wypoczynku. Za wszelką cenę przespać się trochę. Chce schronić się przed deszczem pod powłokę i zebrać siły do marszu.



Miejsce lądowania balonu L. O. P. P.

Ja jestem innego zdania. Pragnę niezwłocznie wyruszyć w drogę i szukać pomocy.

Pierwszy opuszczam kosz. Ważę się na skok i... odrazu wpadam po kostki w błoto. Dotkliwie odczuwam zimno, dygocę całym ciałem. Odruchowo sięgam do kieszeni i zapalam papierosa, pierwszego od chwili startu. Papieros rozmokły i mokre zapalki stawiają opór, przewyciężam go jednak

i w końcu udaje mi się zapalić go. Nieustanne dreszcze podsuwają mi myśl, że trzeba natychmiast wyruszyć w drogę, nie zwlekając ani chwili. Nie wolno pod żadnym pozorem pozostawać w koszu, gdzie spoczynek i bezruch w tej przenikliwej wilgoci mogłyby nas nabawić groźnego zaziębienia, włącznie do zapalenia płuc. Perswaduję Antkowi, żeby natychmiast opuścił kosz, że bagnisty teren nie nadaje się do obozowania i do rozpalania ogniska. Wreszcie Antek usłuchał moich rad i uległ namowom. Postanawiamy wyruszyć w drogę bezwzględnie.

Trzeba zabrać wszelką żywność, jaka ocalała. Wpierw jednak usiłujemy ratować powłokę, którą wiatr rwie i miota po gałęziach. Wszelkie nasze wysiłki idą na marne. Nie ma się o co kusić. Sami nie tu nie poradzimy.

Powracamy więc do kosza, którego wewnątrz to istne rumowisko. Wyławiamy z chaosu zapasy żywności zmieszane z piaskiem, przytłoczone butlami tlenowymi. Chowamy starannie żywność do worka z impregnowanego materiału. Nie wiele jej jest. Robimy inwentarz spiżarni. Stwierdzamy, że mamy tylko jedną konserwę z kuropatwy, dwie tabliczki czekolady, około 150 gr miodu, 100 gr masła, jedną pomarańczę, jedno jabłko, dwie gruszki i dwa nadłamane kabanosy. Reszta owoców tworzy miazgę rozdeptaną, zabrudzoną i przegniłą. Z napojów pozostało nam pół termosy herbaty, pół litra czerwonego wina i nietknięta jeszcze ćwierćlitrowa butelka koniaku. Znajdujemy jeszcze 250 gr razowego chleba, ale w stanie tak rozmokłym, że właściwie zamienił się w nieapetyczną masę, tak, że długo się zastanawiamy, czy wogóle warto go zabrać. Postanawiamy jednak nie porzucać go, w nadziei, że przy pierwszym ognisku uda nam się go osuszyć. Po dokładniejszym zbadaniu kosza odkrywamy jeszcze skarb, w postaci 20 karmelków Fuchsa i owej paczki herbatników, wrzuconej nam w chwili startu do kosza. Przypominamy sobie również o zbiorniku z wodą, zawieszonym przy koszu. Wodą tą wypełniamy drugi termos.

Gorzej jest z papierosami i zapalnikami. Odnaleźliśmy za-  
ledwie cztery chude „Damesy“, a z trzech pudełek zapalek  
tylko 12 sztuk jest zdatne — narazie — do użytku. Później  
dwa przemoczone pudełka poddaliśmy kuracji odwilżającej  
i w ten sposób udało się nam uratować drugą, wcale okazałą  
porcję cennych drewniaków, bez których przeprawa przez pus-  
zczę byłaby prawie nie do pomyślenia, zważywszy mroźny chłód  
nocy oraz konieczność posilenia się chociażby małymi dawka-  
mi ciepłej strawy.



Kpt. Janusz i por. Brenk na miejscu lądowania.

Poza tym zabieramy ze sobą mapy i niektóre instrumenty,  
oraz tabele astronomiczne, radioodbiornik, chwilowo głuchy  
i niezdatny do użytku wobec przemoknięcia bateryj. Liczymy  
jednak na to, że zdołamy je z czasem wysuszyć. Wszystko to  
ładujemy do pustych worków balastowych, rozdzielając ciężar



równomiernie na dwie części. Ostatecznie każdy z nas niósł trzy worki, łącznej wagi 15 kg. Z instrumentów nie zapominamy zabrać kwadranta, który później, po ukazaniu się słońca, pozwoli nam określić nasze położenie geograficzne.

Okolo godziny 10-ej jesteśmy gotowi do marszu. Teraz namyślamy się, w którym kierunku zwrócić nasze kroki. Jeszcze w toku przygotowań spieramy się, jak długo będziemy szukali pomocy. Poglądy nasze na tę sprawę są dość rozbieżne. Ja wyrażam zdanie, że napotkamy ludzi w ciągu dwóch do trzech dni. Kpt. Janusz oblicza marsz do osiedli ludzkich na około 10 dni. Perspektywa niezbyt miła! Teraz, kiedy już jesteśmy gotowi do drogi, trzeba się decydować, jaki obrać kierunek.

Początkowo sądziliśmy, że znajdujemy się znacznie bliżej Morza Białego. Kpt. Janusz jeszcze w czasie lotu wyczekiwał charakterystycznego poszumu fal, który przed dwoma laty, gdy z kpt. Wawszczakiem przelatywał w śnieżycy nad zatoką Fińską, dokładnie ich orientował, że lecą nad morzem. To też mamy zrazu zamiar pójść na północ, aby dotrzeć do wybrzeża. Ale — na szczęście — zamiar ten szybko porzucamy. W czas bowiem przypominamy sobie, że na krótko przed naszym przymusowym lądowaniem przelatywaliśmy nad rzeką. Mogła ona być oddalona od nas zaledwie o 10 do 15 km, a co najważniejsze, zmierzylśmy wówczas kurs, więc łatwo było trafić do niej. Lecieliśmy w kierunku północno - zachodnim, należało więc teraz iść w przeciwną stronę, w kierunku odwrotnym do linii lotu.

Zgodziliśmy się obaj, że należy bezwarunkowo odszukać rzekę. Posuwając się wzdłuż jej biegu, najprędzej dotrzemy do osiedli ludzkich. Zdecydowaliśmy, że rzeka nam będzie nicią przewodnią i kompasem i że trzymać się będziemy jej wybrzeży, bez względu na napotymane trudności i przeszkody. Przyśłość potwierdziła, że rozumowanie nasze było trafne.

Przed odmarszem kpt. Janusz kreśli wyraźnym piśmem

na kartce papieru notatkę tej treści: „Balon „L.O.P.P.“ — załoga kpt. Janusz, por. Brenk — lądowali 1. IX. 1936 r. o godzinie 8-ej i poszli szukać pomocy wzdłuż rzeki na S. E. od miejsca lądowania“. Notatkę tę wkłada do biało - czerwonej taśmy meldunkowej i przyczepia w widocznym miejscu do kosza.

## VI.

### ROBINSONADA W PUSZCZY.

Rzucamy ostatnie spojrzenie na miejsce, w którym przysły nasze nadzieje, na połamane drzewa i wplątana w ich konary sieć. O godz. 10 ruszamy przed siebie. Kroczymy zrazu lasem, a po 300 metrach wychodzimy na polanę, którą zamierzamy przejść na przełaj. Ale już pierwsze kroki pouczają nas, że to daremny trud. Przed nami błota, w których grzęźniemy, coraz głębiej oddalając się od skraju lasu. Trzeba wracać i szukać innej drogi, któraby nas zawiodła na drugą stronę polany.

Chcąc ułatwić sobie odnalezienie drogi powrotnej do opuszczonego balonu, miejsce, w którym wychodzimy z lasu, oznaczamy chorągiewką o barwach narodowych.

Ponieważ marsz w prostym kierunku jest niemożliwy, przeto musimy zboczyć z wytyczonego sobie kursu i kołować w poszukiwaniu przejść przez bagno. Suchszych i twardszych miejsc spodziewamy się między widniejącymi w pobliżu drzewami, do których docieramy dopiero po godzinie; tyle czasu zużywamy na przebycie jednego kilometra, pomijając milczeniem trud i wysiłek, którego wymaga od nas bagnisty, grząski teren. Kiedy zwiedzeni bezpieczną na pozór kępą mchu stawiamy na niej krok, zapadamy się po kolana w błotnistej mazi. Ochłapani błotem, oblepieni nim prawie do pasa, posuwamy się żółtym tempem przez trudny teren. Idziemy pod wiatr.



Deszcz smaga nam twarze. Dawno nie ma już na nas suchej nitki. W buciakach pełno wody, błota i trawy.

Dotarliśmy do pierwszych drzew, pozwalamy sobie na krótki odpoczynek. Łyk wina pokrzepia nasze siły. Zaopatrujemy się w długie kije, które mają nam ułatwić przeprawę przez mokradła. Ręce mamy wolne, gdyż toboły dźwigamy przewieszzone przez ramiona. Musimy przedstawiać obraz godny pożalowania, a może nawet widok nasz jest pocieszny. Podobni jesteśmy do pokutujących pątników, z sakwami podróżnymi na plecach i piersiach. Czyż bowiem nie jesteśmy pątnikami, pielgrzymującymi poprzez wertepy do dalekiej ojczyzny?

Co godzinę robimy przerwy w marszu, znacząc w dalszym ciągu przebytą drogę chorągiewkami. Obecnie, mimo że dotarliśmy do skraju lasu, wciąż jeszcze musimy borykać się z bagnistym terenem. O tyle jest lepiej, że istotnie natrafiamy na więcej suchych i twardych kęp; skacząc, od jednej do następnej, przebywamy mokradła. Posuwamy się jeden za drugim w śmiesznych skokach kangura, potykając się wskutek zmęczenia, trzymając się kurczowo zbawczych wysepek. Sakwy nasze ciężą i utrudniają marsz tak dalece, że, aby sobie ulżyć, na pierwszym postoju pozostawiamy nawet część map meteorologicznych.

Dalekim łukiem okrężnym, wzdłuż lasu, obchodzimy wreszcie bagnistą polanę i nakładamy co najmniej trzy kilometry drogi, aby trafić znowu na nasz kurs. Najbliższym celem naszym jest ogromne drzewo, powalone przez potwornej siły huragan. Utrwalamy je sobie w pamięci, jako wybitnie charakterystyczny punkt orientacyjny w okolicy miejsca lądowania. Chroniąc się przed deszczem pod rosochatymi konarami olbrzyma leśnego, stwierdzamy, że od balonu oddaliliśmy się, w ciągu trzech godzin uciążliwej wędrówki, zaledwie o dwa kilometry w linii powietrznej.

W czasie odpoczynku, mimo zimna i ulewnego deszczu, buchają z nas... kłęby pary, byliśmy bowiem zgrzani, a pot lał się z nas strumieniami. Teraz pod wpływem rozgrzanych ciał,



Fragment z puszczy, przez którą przedzierali się nasi aeronauci.

przesycone wilgocią ubrania parują i dymią. O tym, że przeprawa przez trzęsawiska była nie tylko uciążliwa, ale wysoce niebezpieczna, dowiemy się dopiero później. Okaze się bowiem, że przedzieraliśmy się przez zarośnięte tereny dawnego jeziora.

Jesteśmy wreszcie w owym wysokopiennym lesie, który z dala, kiedy grzęźliśmy w błotach, wydawał się nam zbawczą oazą. Istotnie, tutaj teren jest nieco suchszy. Między drzewami widnieją gęste zarośla i krzewy, przypominające jak gdyby

nasze czarne jagody. Ale samych jagód jeszcze nie spotykamy. Im głębiej w las, tym trudniejszy marsz, chociaż trudności napotymane tutaj są zgoła inne, niż wśród bagien.

Jesteśmy, zdawałoby się, w samym sercu niedostępnego matecznika. Przedzieramy się przez barykady utworzone przez przyrodę z powalonych pni drzew i szczepionych ze sobą konarów oraz korzeni. Wspinamy się na oślizgłe od deszczu, mchem porośnięte, pnie, zsuwamy się po nich, z trudem utrzymując równowagę i bacząc, aby nie wpaść do zdradzieckich pułapek, jakich mnóstwo czyha na każdym kroku między wykrotami. Kiedy łamią się z trzaskiem zakrywające je kruche gałęzie, zasłane gnijącym listowiem, odsłaniają się istne wilcze doły.

Wzdychamy do Boga, aby ustrzegł nas przed wypadkiem, o który tutaj nie trudno. Jedno fałszywe, czy niebaczne stąpienie może narazić nas na złamanie nogi a wówczas puszcza gotowa nas pochłoniąć na zawsze.

Miejscami bór przedstawia obraz straszliwego spustoszenia, jak gdyby przeszedł nad nim ogień huraganowy najcięższych dział. Całe przestrzenie zasłane są zwaliskami leżących pokotem drzew, ofiar potwornych burz, jakie tutaj, pod północnym niebem, muszą często szaleć.

Torujemy sobie drogę przez rumowiska, idąc na przelaj wciąż w kierunku południowo - zachodnim. Dwa kompasy, które stale kontrolujemy, wskazują nam cel: — rzekę, widzianą przez chwilę z kosza balonu.

Radość nasza, że wydostaliśmy się z błot, była przedwczesna. Znowu napotykamy przyczajone pod cielskami drzew mokradła i bagna. Przebywamy je po pniach balansując i ślizgając się po ociekających wilgocią mchach, albo skaczemy z kępy na kępę, które, niczem wysepki, wyrastają z błot.

Na rozmowy nie mamy czasu podczas takiej wędrówki. Jedyne temat, to... notowanie upadków. Przewracamy się po kolei, to znowu po pas zapadamy w błoto. Każdej takiej kąpieli błotnej towarzyszy mimowolny głośny okrzyk i stereotypowy dialog:



- Co się stało?
- Skąpałem się znów. Siedzę w błocie.
- Nie martw się. U mnie to samo.

Z trudem trzeba wyciągać nogi z topieli, chwytając się gałęzi drzew i krzewów, i podpierając kijem. Usiłujemy chwilami iść obok siebie, ale okazuje się, że to bezcelowe. Lepiej już gdy jeden z nas, na zmianę, toruje drogę i prowadzi przez tę północną dżunglę. Mimo wytężonej uwagi wciąż musimy wracać, bo przed nami nowe mokradła, przez które w ogóle nie można przejść i trzeba je obchodzić wielkim łukiem.



Załoga balonu L. O. P. P. po wylądowaniu w tajdze.

Mimo częstych krótkich wypoczynków, kiedy wydostajemy się na nieco wynioślejsze miejsce, porośłe suchym mchem i zasłane powalonymi drzewami — opadamy dosłownie z sił.

— Dość już tej zupy! — wołam.

Przypominamy sobie, że przez cały dzień poza drobnymi łykami wina, nic nie mieliśmy w ustach. Trzeba wreszcie posilić się nieco, rozpalić ognisko, pomyśleć także o noclegu. I o dziwo, deszcz nawet przestał padać. Wstępuje w nas nowa otucha i cieszymy się z tej drobnej zmiany na naszą korzyść, jak gdyby nas spotkało największe szczęście.

Składamy nasze worki na trawie i prostujemy kości. Osłona przed wiatrem jest nam gęsty las.

Zegarki nasze wskazują godz. 15.30. Według czasu rosyjskiego, to już 17.30. Słońca nie widzieliśmy przez cały dzień i już go nie ujrzymy. Teraz puszcza szarzej. Zapada zmierzch. Dalej iść nie można. Musimy rozłożyć się tutaj obozem. Gniewa nas, że nie osiągnęliśmy celu, któryśmy sobie na ten dzień wytknęli. Nie dotarliśmy do rzeki. Godzimy się jednak z losem i pozostajemy na noc w lesie. Z miejsca zabieramy się do rozpalenia ogniska. Znosimy dużo chrustu i grube, spróchniałe drzewa, suche od wewnątrz. Gołymi rękami rozbijamy je o ziemię i rozrywamy na szczapy. Z wielką ostrożnością zapalamy zapalkę. Gaśnie. Zmartwienie. Mamy ich już tylko 11 sztuk. Przy pomocy scyzoryków łupiemy suche szczapy na drzazgi. Antek podkłada pod drzewo papier i podpala. Zajęło się! Pieczołowicie pilnujemy płomyka i chuchamy nań, aby nam nie zgasł. Wreszcie ognisty język liźnął szczapy i wkrótce płomienie ogarnęły stos drzewa.

Kpt. Janusz nie daje jeszcze za wygraną. Kiedy ognisko już płonie, rozgląda się po okolicy i zapuszcza coraz dalej w mrokiem spowity bór. Wraca z wyprawy niezadowolony — rzeki ani śladu.

Ciemno już wokół, czas pomyśleć o naszych żołądkach. Zjadamy po kawałku chleba z masłem, żując go długo w ustach, wypijamy po łyku ciepłej jeszcze herbaty z termosy,

a na deser zjadamy jedną gruszkę. Jak na cały dzień uciążliwej wędrówki to porcja serdecznie mała. Ale — musimy przyznać, że nie jesteśmy bardzo głodni, albowiem głód zagłuszało i tłumilo zbyt wielkie zmęczenie. Poza tym zdawaliśmy sobie sprawę, że musimy naszymi, aż nazbyt skromnymi zapasami żywności gospodarzyć jak najoszczędniej, aby starczyło jak najdłużej.

Po tej skromnej uczcie zerkam w stronę Antka i mówię:

— A teraz zasłużyliśmy chyba na papierosa?

Janusz uśmiecha się filuternie i odpowiada po chwili:

— Poczekajmy lepiej, zapalimy dopiero nad ranem.

Tego wieczora jednak wypaliliśmy po połowie papierosa.

Przy wesoło trzaskającym ognisku suszymy nasze rzeczy. Zdejmujemy kombinezony i krótkie wojskowe kurtki, które wykrecamy z wody niczem mokrą bieliznę i rozwieszamy na patykach nad ogniem. Suszymy także pończochy. Po tym przychodzi kolej na półbuciki, marynarki, swetry. Wtem widzę jak Antek odruchowo sięga po rewolwer. Z boru patrzą na nas jarzące się ślepie jakiegoś zwierzęcia. Rozmawiamy szeptem. Zastanawiamy się: strzelać, czy nie. Może to wilk lub dzik, a może niedźwiedź. Po ślepiach, które widniały dość wysoko, sądzić było można, że zwierz jest duży. Co się z nim stało, nie wiemy, gdyż nagle rozszedł się po lesie swąd spalenizny. Od ognia zajęły się wrzosa, płomień szybko się rozszerzył i przeniósł na nasze rzeczy. Już pali się jedna pończocha i dymią potężnie kombinezony. Ratuujemy, co się da.

Z mieszkańcami puszczy mieliśmy tylko jedno spotkanie, podczas ubiegłego dnia. W czasie przeprawiania się przez moczary w lesie, wstrzymał nas nagle nieoczekiwany obrazek. Stanęliśmy oko w oko z rodziną łosi. Stary łos z potężnymi łopatami na swej końskiej, brodatej głowie podejrzliwie przyglądał się dziwnym intruzom, którzy ośmielili się zakłócić spokój puszczy. Za nim stała mama łosiowa, a przy niej małe łosiątko. Spotkanie było tak nieoczekiwane i napełniło nas taką radością, że zapomnieliśmy o posiadany rewolwerze i 12 nabo-



jach. Po chwili sielanka leśna rozwiała się w nicość. Łosiowa rodzina znikła w gęstwinie.

Teraz przy ognisku zastanawiamy się, jak zabezpieczyć się przed napaścią dzikich zwierząt, z obecnością których należało się liczyć. Puszcza z zapadnięciem nocy — ożyła. Do uszu dwóch zabłąkanych wędrowców, rozmawiających szeptem przy ognisku, dochodzą z kniei poryki zwierząt, tajemnicze szmery, których źródła trudno dociec, trzaski gałęzi, pisk, świst i łopot skrzydeł. W pewnej chwili budzi ich z zamyślenia głośny huk jak gdyby wystrzału. Czyżby ludzie byli w pobliżu? Nie. To tylko stare drzewo gdzieś w pobliżu pękło z suchym, głośnym trzaskiem.

Postanawiamy czuwać na zmianę z bronią w ręku. Właściwie jednak czuwamy obaj, gdyż nie można nazwać snem chwilowego zapadania w tępe odrętwienie, z którego budzi nas ziąb i deszcz. Znowu rozpadało się na dobre. Ognisko zgasło. Trzeba było rozpałić je na nowo. Aby zapewnić sobie ogień na całą noc, podpalamy od spodu, przy pomocy płonącego chrustu, grubą kłodę, na której sami siedzimy, usiłując zasnąć w tej niezbyt wygodnej pozycji, z głowami opartymi o dłonie. Próbujemy rozwiesić nad głowami kombinezony, które jednak nie spełniają włożonego na nie zadania. Woda deszczowa przecieka przez nie jak przez sito, Antek szuka sobie wygodniejszego legowiska pod drzewem, które ma go osłonić przed deszczem i rozpala nowe ognisko, lecz z chwilą kiedy wygasło, wypłoszony przez dokuczliwe zimno, wraca do mnie na płonącą od spodu kłodę. Znowu siedzimy razem, przytuleni do siebie plecami. Od czasu do czasu padają, urywanym szeptem, wypowiedane słowa sennej rozmowy.

Żałujemy poniewczasie, że nie zabraliśmy ze sobą części rozdartej powłoki balonowej, któraby nam teraz wyświadczyła szaloną przysługę. Żalimy się na psią pogodę i wspominamy nawet o tym, że mowy nie ma, aby w takich warunkach atmosferycznych zdecydowano się wysłać nam lotników na pomoc. Niż barometryczny szaleje nad naszymi głowami w całej pełni.

Poprawiamy i podsycamy co chwilę wygasające ognisko i tak upływa nam pierwsza noc w puszczy „siewiernego kraju“.

W tej chwili, kiedy spisuję garść tych wspomnień, jest także noc i deszcz również siecze o szyby i bębni o parapet okna, ale dziś siedzę pod dachem, w ciepłym pokoju, a ta, tak niedawna noc z 1-go na 2-gi września zaciera się już prawie w pamięci i jest tak daleka, jak daleka od Torunia jest puszcza w „oniegskim rejonie“ nad morzem Białym.

*Środa dn. 2 września.*

Szary świt zastaje nas już na nogach. Dzień 2 września budzi się ociekający deszczem, bezbarwny, beznadziejny. Ale nie wolno poddawać się nastrojom. Nie wolno osłabiać sił zniechęceniem i pośepnymi myślami.

Jest dopiero godz. 2.30. Decydujemy się mimo wszystko ruszyć natychmiast w dalszą drogę. Nie zwlekamy ani chwili, gdyż zziębnięte do szpiku kości i skostniałe członki wymagają ruchu. W pośpiechu spożywamy kawałek chleba, popijając go łykiem herbaty. Pakujemy szybko nasze worki i zarzucamy na ramiona. Ponieważ cienkie ich szpagaty wrzynały się nam wczoraj dość dokuczliwie w ciało, podkładamy pod nie zwinięte kombinezony; — są zbyt mokre, by je można nałożyć. Ruszamy rażnym marszem przed siebie. Z początku każdy ruch sprawia ból, ale szybko przychodzimy do formy i nad podziw łatwo dajemy sobie radę z trudnościami terenu. Szliśmy tak około 400 m, kiedy nagle las zaczyna się przerzedzać i między drzewami coś prześwieca. Nie chcemy wierzyć własnym oczom — a jednak to niewątpliwie rzeka! Upragniona, wytęskniona rzeka, która ma nas wyprowadzić z bezludnej puszczy. Jeszcze zanim przekonaliśmy się na własne oczy, że nasze przypuszczenia są słuszne, słyszymy poszum fal, obijających się o kamienie i skalne progi. Mijamy ostatnie wysokie drzewa i stajemy nad wodą.

Ogarnia nas niepohamowana radość. Cieszymy się jak

dzieci. — „Daj łapy Staszek!“ — woła Janusz. W radosnym uniesieniu ściskamy sobie dłonie. Pleciemy trzy po trzy, jeden przez drugiego. — „Patrz, jaka czysta woda!“ — „I rybki w niej prawdziwe!“ Ktoś patrzący na nas z boku, sądziłby, że poszaleliśmy z radości.

Rzeczka w tym miejscu miała około 12 m szerokości. Po drugiej stronie wznosił się stromy brzeg, porośły gęstym lasem. Poprzez przezroczystą wodę widać było piaszczyste dno, w niektórych miejscach zaledwie na głębokości 30 cm. Z pewnym zdziwieniem stwierdzamy, że rzeczka płynie na południe.

W miejscu, w którym wyszliśmy z lasu nad rzekę, zawieszamy na drzewie białe - czerwony proporzeczek. Nagle Antek poważnieje i — wyciąga papierosnicę. Uroczyście częstuje mnie „Damesem“. Wypalamy go na spółkę.

Tak uczciliśmy radosną chwilę, którą nas od samego rana obdarzył dzień 2-go września.

Pozostajemy na prawym brzegu i w dalszą drogę ruszamy w dół rzeki. Rozpoczyna się znowu mozolny marsz. Nie zawsze możemy iść tuż nad wodą, czasami musimy zagłębiać się w las, aby potem ponownie wracać nad brzeg. Deszcz pada w dalszym ciągu, jak gdyby uwziął się na nas i chciał przygasić naszą radość z odnalezienia rzeczki. Sama rzeka gotuje nam również niespodziankę. Po przejściu kilkuset metrów stwierdzamy, że wije się przez puszcę niezliczonymi zakosami, które zmuszają nas do poważnego nakładania drogi. Co chwilę zmieniamy kierunek marszu, wiedząc, że rzeczka znowu skręci. Próbujemy skrócić sobie drogę i przedrzeć się do nowego zakosu na przełaj przez las. Próby te jednak kończą się smutnie. W lesie trudno utrzymać kierunek, tak, że kołujemy w błędnym kole i jak niepyszni musimy wracać tą samą drogą do rzeczki, aby nie stracić jej z oczu.

I znowu przedzieramy się przez gąszcze nadbrzeżnych krzewów i karłowatych brzoź. Znowu brniemy po błotach i zapadamy się w doły, których nie sposób dostrzec. Kiedy mamy już dość przymusowej kąpieli błotnej, wchodzimy nieco w las,





Kpt. Janusz i por. Brenk w czasie wędrówki.

aby urozmaicić sobie marsz wspinaniem się przez powalone kłody drzew i ekwilibrystyką po śliskich pniach. Najwięcej kłopotu mamy z bocznymi strugami, wpadającymi do rzeczki i rozlewającymi się w szerokie bajora. Niekiedy tylko natra-

fiamy na pewnego rodzaju ścieżki, wydeptane przez grubszą zwierzynę, ciągnącą utartym szlakiem do rzeczki. Czasem znajdujemy także w przybrzeżnych krzewach i zaroślach zupełnie świeże, prawie „ciepłe“ jeszcze, legowiska niedźwiedzie, a może dzika, czy innego zwierza. Wyraźny trop niedźwiedzia odkrywamy na piasku tuż nad wodą, obok tropów w kształcie racic i nawet podobnych do końskiego kopyta.

A deszcz pada i pada, tak, że nawet łagodny Antek zaczyna być uszczypliwy. Kiedy narzekam na pluchę, pokpiwa sobie: — „Musieliśmy dużo nagrzeszyć w życiu, skoro tyle trzeba wycierpieć“.

Idziemy wzdłuż rzeki w zupełnym niemal odrętwieniu, jak automaty. Nawet na głód jesteśmy już zupełnie nieczuli, dokucza nam jedynie pragnienie. Wczesnym rankiem wypiliśmy z termosów resztę ciepławej herbaty i zimnej wody (tej warszawskiej jeszcze!).

Z rana, po godzinnym marszu wzdłuż rzeczki, natrafiamy na pierwszy ślad człowieka. Z daleka zdawało się nam przez chwilę, że jesteśmy już u kresu wędrówki. Ujrzeliśmy bowiem zarysy chaty. Czekало nas jednak rozczarowanie. Z bliska owa chata okazała się dawno opuszczoną ruiną nędznej, rozwalonej chatynki bez dachu. Kłody drzewa, z których była zbudowana dawno już przegniły i spróchniały. Wewnątrz, o ile można mówić o „wnętrzu“, bałóg pełen brudu. Trudno nawet było ustalić, kiedy ostatni raz powstała tu noga człowieka. — Może dzie sięć, a może sto lat temu.

Później, podczas dalszego marszu, spotkamy jeszcze kilka rozwalonych „izbuszek“ podobnych, w swym stanie rozkładu, do napotkanej z rana. Około południa dochodzimy znów do takiej „izbuszki“, położonej na wyniosłym brzegu, różniącej się od poprzednich całym dachem. Nasze zegarki wskazują zaledwie godz. 10-tą. Okazuje się, że szliśmy wszystkiego sześć godzin, a jesteśmy tak wyczerpani, że postanawiamy zatrzymać się tutaj i skorzystać z „izbuszki“, aby chociaż jedną noc, pierwszą od soboty, spędzić „pod dachem“. Zrzucamy tobo-

ły i równocześnie prawie wygląda z za chmur słońce, po raz pierwszy od kilku dni. Puszcza nabiera blasku i przedstawia się nam w zupełnie innym świetle. Nawet na wpół rozwalona chatynka uśmiecha się do nas ...całym dachem.

Siadamy na powalonych drzewach i z rozkoszą poddajemy się pieszczotom promieni słonecznych, które darzą nas błogim ciepłem. Obuwie, pończochy, ubranie zaczynają parować, aż miło.

Ale niezmordowany Antek nie spoczywa długo. Przecież to pierwszy raz oglądane słońce od chwili startu. Już przygotowuje kwadrant, który z takim trudem dźwigał przez ostępy puszczy, aby dokonać pomiaru położenia geograficznego. Mimo prostych środków, jakimi rozporządza, mimo prymitywnego przyrządu, obliczenie kpt. Janusza, dokonane zresztą metodą jego własnego pomysłu, okazało się później najzupełniej trafne. Pomiar astronomiczny wykazał, że znajdujemy się pod  $37^{\circ}$  długości i  $63^{\circ}$  szerokości geograficznej. Nie mamy dokładnych map tego rejonu, posługujemy się więc mapami: meteorologiczną i radiogoniometryczną. Kpt. Janusz zaznacza obliczone miejsce na mapie Europy i przy tej sposobności wyjaśnia zagadkę wpadnięcia naszego balonu na las, na wysokości 500 m. Wzgórze to wprowadzie nie jest na mapie zaznaczone, ale z biegu rzek, rozchodzących się stąd w różnych kierunkach, wnioskujemy, że katastrofę balonu spowodowały wzgórza, stanowiące dział wód między morzem Białym, a Bałtykiem. Jesteśmy zdziwieni, że ten dział wód przebiega tak blisko morza, od którego dzieli nas zaledwie 70 km.

Resztę dnia spędzamy przy „izbuszce“, a noc pod dachem. Wygrzewamy się w słońcu, a potem przy ognisku. Pogoda jak gdyby nam chciała wynagrodzić wszystkie trudy. Po błękitnym niebie płyną śnieżno - białe obłoki, a słońce parzy nas swym ciepłem.

Podczas skromnego obiadu (kawałek chleba z masłem i miodem i po jednym herbatniku), który spożywamy o godz. 13-tej, rzucam od niechcenia:



— Antek, mamy przecież jeszcze kuropatwę...

Ale Antek nic, uśmiecha się tylko i wreszcie nieubłaganie stanowczym głosem orzeka:

— Uroczysty obiad zjemy dopiero jutro wieczorem.

Janusz umie szafować skromnymi zapasami, to co najprzedniejsze chowając na ostatek.

— Za to dzisiaj — ciągnie dalej Antek — spróbujemy złowić kilka rybek na kolację.

— Ale jak? O wszystkim pamiętaliśmy przy pakowaniu kosza przed startem ale — ze wstydem się przyznaję — nie pomyśleliśmy o zabranii haczyków i wędek. A pod nami w wodzie śmigają piękne, tłuste okonie i wprost proszą się, aby je złowić. I na to znajduje się jednak rada. Jedną z igieł, używanych do pomiarów astronomicznych wyginamy w kształt haczyka i przyczepiamy do sznurka. Robaków nie znajdujemy, więc nadziewamy na zaimprovizowany haczyk jagodę. Ryby są tak żarłoczne, że łapczywie rzucają się na przynętę i pożerają ją natychmiast. Lecz kiedy podrywamy wędkę, haczyk się odgina i ryba z pluskiem wpada do wody. Tego dnia żadna ryba nie trafiła na nasz „stół biesiadny“. Obywamy się smakiem.

Dzień, który z tak wspaniałomyślną hojnością wyznaczyliśmy sobie na odpoczynek, jest długi. To też różne myśli i projekty napływają do naszych mózgów. Kiedy tak w zadumie siedzimy nad wodą, nagle olśniewa nas równocześnie myśl: po co męczyć się pieszym marszem przez bagna, moczary i wądoły, czy nie wygodniej popłynąć rzeką?

— Zbudujmy tratwę — rzucam projekt. Zrywamy się na równe nogi. Pomysł dobry — rzeka jest coraz głębsza i szersza, szybciej nas poniesie do ludzi, niż nasze zbolące, okaleczone nogi. Drzewa jest pod dostatkiem, brak tylko narzędzi. Znajdujemy w lesie dwie powalone przez burze odpowiednie kłody. Wleczone je z trudem do rzeki i wrzucamy do wody. Ale kłody łamią się. Wnętrza ich są spróchniałe i przegniłe. Gdyby się udało znaleźć odpowiedniejsze pnie! Mielibyśmy za-

miar powiązać je bandażami, paskami skórzanymi, a nawet chcieliśmy poświęcić kombinezony, które pocięlibyśmy na pasy, aby tylko uniknąć przedzierania się drogą lądową przez puszcę. Ale w pobliżu brak drzewa, któreby się nadawało na tratwę, a gdyby nawet było, zdajemy sobie sprawę, że wiązała przez nas posiadane są za słabe. Znowu poniewczasie żałujemy, że nie zabraliśmy ze sobą kilku lin balonowych. Wówczas mielibyśmy ułatwione zadanie i niewątpliwie dalszą drogę odbywalibyśmy wodą. A tak jeszcze jeden dobry projekt bierze w łeb.

Aby piękny dzień pięknie zakończyć, robimy sobie wielką przyjemność, mianowicie ciepłą kolację. Nad ogniskiem, pod gołym niebem, warzymy gorącą zupę z chleba. Nasz razowy chleb zupełnie rozmókł, ale żal nam go było wyrzucać. Wkładamy więc go do wody i, dodawszy nieco masła, gotujemy. Soli nie mamy, musimy się bez niej obyć.

Ale w czym gotujemy? — zapyta zapewne przenikliwy czytelnik. Oczywiście z gotowaniem był pewien kłopot, garnków bowiem nie wieźliśmy ze sobą. Mamy jednak na szczęście termosy, a przy termosach kubki. Naczynia te doskonale zastąpiły rondle, chociaż miały jedną wielką wadę: można w nich było gotować miniaturowe tylko porcyjki. Na wadę tę znalazło się jednak lekarstwo, któremu na imię cierpliwość. Aluminiowe kubki, bez ucha, niebezpiecznie trzymać nad ogniem w palcach. Widelki z drzewa spłonęłyby w mgnieniu oka. Skąd wziąć jakieś metalowe szczypce? Dostarczyły ich nam — słuchawki radiowe: pałak ich w zupełności nadawał się do tego celu.

W ten sposób ugotowana gorąca zupa pomimo braku soli była wspaniała. Kawałek chleba z masłem mocno już zjełczałym, potem łyżeczka miodu, który osłabia niemiły smak i zapach — oraz odrobina czekolady zamknęły menu naszej ucztę tego dnia. Jesteśmy przezorni. Aby z rana nie tracić czasu na rozpalamie ogniska, napełniamy dwa termosy gorącą przegotowaną wodą z rzeki.

Noc spędzamy w kurnej chacie, do której wpełzamy na czworakach. Tutaj, już poprzednio, roznieciliśmy drugie ognisko. Około godz. 2-giej wreszcie układamy się do snu. W „izbuszce“ pełno dymu, chociaż w ścianach nie brak szpar, a niskie wejście jest pozbawione drzwi. Dym nam jednak nie szkodzi, budzi nas dopiero dotkliwy ziąb i silny wiatr. Wyglądamy w ciemną noc. Rozpadało się znowu na dobre. Ognisko dawno wygasło, a ciepło pierzchnęło przez szpary. Trudno teraz zasnąć. Wreszcie mokrymi kombinezonami zatykamy otwór drzwi i szpary, a sami nakrywamy się jeszcze... płachtami map, — i o dziwo, jest nam znacznie cieplej. To, że barłóg, na którym rozciągnęliśmy znużone członki, był brudny i cuchnący, że wokół wszystko było osmolone i zakopcone, bynajmniej nas nie wzruszało. Doszczętnie zobojętnieliśmy na takie... drobiazgi. Zresztą już od czterech dni nie myśliśmy się, ani nie rozbierali do snu.

Nad ranem z lekka się ociepliło. Folgujemy sobie i śpiemy długo w dzień, znacznie dłużej niż zazwyczaj. W dalszą drogę ruszamy dopiero około godz. 7-ej, według czasu miejscowego.

*Czwartek dn. 3 września.*

Rozpoczynamy już trzeci dzień naszej samotnej wędrówki przez puszcę. Krótkie śniadanie, które ma na celu raczej oszukanie żołądka, niż napełnienie go (oczywiście znowu kawałek chleba i kubek gorącej wody z miodem), potem worki na ramiona, kije w łapę i w drogę.

Idziemy dalej prawym brzegiem, ale trudności piętrzą się coraz większe. Z ciekawością zerkamy ku drugiej stronie rzeki. Tamten brzeg wydaje się nam wygodniejszy. Natrafiwszy na bród, nie wahamy się skorzystać ze sposobności i zamieniamy prawy brzeg na lewy. Przechodzimy przez rzekę w trzewikach i pończochach. Nie warto ich zdejmować. I tak są pełne wody i błota.



Spotyka nas jednak gorzkie rozczarowanie. Nie zawsze to, co z daleka wydaje się piękne, z bliska urzeczywistnia pozory. Ułuda nasza pryska, gdyż lewy brzeg jest jeszcze gorszy od prawego. Wracamy więc znowu tą samą drogą na pierwotny szlak i brniemy dalej poprzez bajora, błota, przedzieramy się przez zasieki, wilcze doły i zwaliska drzew. Pół dnia wędrujemy tak ze wzrokiem wlepionym w ziemię, obojętni na krajobraz, nie widząc nawet tego, co się dzieje o kilka kroków obok nas. Idziemy, trzymając się niewolniczo niezliczonych meandrów kapryśnej w swym biegu rzeki.

Okolo południa łudzimy się znowu, że lewy brzeg będzie jednak łaskawszy dla naszych utrudzonych nóg. Kusi nas możliwość łatwego przejścia przez rzekę i to suchą nogą. Sama przyroda przerzuciła nad rzeką potężny most ze zwalonych olbrzymów leśnych, które wyrwała niewątpliwie potworna łapa jakiejś trąby powietrznej i spiętrzyła nad leśnym strumieniem na przestrzeni kilkunastu metrów. Przechodzimy po tej gigantycznej kładce na lewy brzeg po to tylko, aby po raz drugi się rozczarować. Jesteśmy jednak uparci i pomimo zawodu po tej stronie rzeki idziemy niezmordowanie, aż do zachodu słońca.

Dziwne uczucie ogarnia mnie w tej chwili, kiedy piszę te słowa: „idziemy niezmordowanie aż do zachodu słońca“. Jakże łatwo skreślić tych kilka wyrazów, a wówczas ileż zawierały one w sobie trudu, ile niezliczonych kroków, ile kilometrów przebytej drogi, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

Po ulewnych deszczach i chłodach, którymi doświadczał nas los na początku wędrówki, teraz niebo staje się dla nas coraz łaskawsze. Na trzeci dzień robi się ciepło, nawet gorąco. Najmniejsza chmurka nie kała głębokiego błękitu sklepienia niebieskiego. Promienne słońce budzi we mnie niewątpliwie zgoła nieprzystwoite w tych warunkach pragnienie — „pragnienie“ w dosłownym znaczeniu tego wyrazu. Odrywam na chwilę wzrok od ziemi i mówię do kpt. Janusza:

— Czy wiesz Antek, na co miałbym teraz apetyt?

— No?

— Na piwo.

Antek siarczyście zaklął w odpowiedzi:

— Masz mi też co przypominać. I cóż, że takie rzeczy istnieją na świecie.

Jeszcze inne pragnienie odzywa się w nas coraz silniej — apetyt na mięso. To też, aby go zaspokoić nie wahamy się poświęcić jednej kuli, gdy nadarza się ku temu sposobność. Spostrzegłszy siedzącego na drzewie sporych rozmiarów ptaka, postanawiamy go upolować. Padł strzał i ptak... pofrunął sobie w dal. Z rewolweru bardzo trudno ubić zwierzynę.

Tego dnia pod wieczór stanęliśmy nagle jak wryci. Słuch nas nie myli — to były niewątpliwie strzały. Zastanawiamy się, z której strony doszły nas ich odgłosy. W jakiej odległości znajdować się mogą strzelcy. Ciszę puszczy przez dłuższy czas zakłócają głośnie nasze wrzaski i nawoływania. Nikt nam jednak nie odpowiada. Kpt. Janusz wyraża nawet przypuszczenie, że może znajdujemy się znacznie bliżej morza Białego niż sądzimy, i że to marynarka wojenna odbywa ćwiczenia. W końcu przypuszczamy, że dźwięki te mogły pochodzić z zupełnie innego źródła, że to po prostu z głośnym trzaskiem pękały w pobliżu stare suche drzewa. Po wielu dniach dowiemy się, że w pobliżu, to znaczy w odległości może siedmiu kilometrów istotnie strzelał człowiek, którego później poznamy, który nam wyświadczy wiele przysług i z którym nawet zaprzyjaźnimy się serdecznie.

Mamy także kłopot ze znalezionymi grzybami. Okrutnie nas nęci myśl spożycia gotowanych grzybów na kolację. Dwa okazy mamy już obrane. Niesiemy je w puszcze od konserw. Ale kiedy już zabieramy się do gotowania, zaczynają nas trapić wątpliwości, czy aby istotnie są to prawdziwe grzyby i czy potrafimy je odpowiednio przyrządzić. Obawiamy się zatrucia. Dwukrotnie nieugotowane wyrzucamy z puszek i znów podnosimy, bo nam żal przysmaku.

Pod wieczór rozkładamy się obozem pod gołym niebem.

Wybieramy wyniosły, suchy pagórek nad rzeką. Toboły zrzucaamy w miejscu, gdzie gęsta ściana zarośli osłania nas przed wiatrem. Trzeci nocleg w puszczy wykazał, że nabieramy coraz większego doświadczenia w naszej robinsonadzie. Uczymy się z dnia na dzień wielu rzeczy i coraz lepiej i sprawniej radzimy sobie w niezwykłych sytuacjach, jakie w obfitości narzuca nam puszcza. Na przykład nocleg pod gołym niebem przygotowywujemy w zgoła odmienny sposób, niż początkowo. Rozpalamy przede wszystkim olbrzymie ognisko na przestrzeni kilku metrów kwadratowych. Drzewa mamy przecież w bród i nie potrzebujemy go sobie żałować. Gdy ognisko płonie wesoło, nacinamy stos miękkich gałązek sosnowych. Będzie z nich wspañiałe, miękkie i ciepłe posłanie. Owszem, ciepłe, gdyż sosnowe łapki rozłożymy grubą warstwą na gorącym popiele po wygasłym ognisku, i w nocy przez materac z igliwia, długo jeszcze rozkoszne ciepło opromieniać będzie nasz sen. Obok wygasłego ogniska rozpalamy drugie, któremu pozwolimy płonąć przez całą noc. Trzeci nocleg pod gołym niebem w tych warunkach był już zupełnie znośny.

Wszakże zanim ułożyliśmy się do snu, Antek dotrzymał swej obietnicy. Nie skłamię, jeśli powiem, że nigdy przed tym nie jadłem, ani prawdopodobnie już nigdy w życiu nie zjem smaczniejszej kuropatwy, niż tego wieczora, w puszczy nad Białym morzem. Mięso przegryzamy chlebem, pijamy gorącym rosołem. Aby dopełnić miary szaleństw, na jakie ze wspañiałą rozrzutnością pozwalamy sobie tego dnia, wypalamy na dezer nasze ostatnie dwa papierosy. Znaj pana — polarna kniejo!

Po zjedzeniu kuropatwy cieszy nas jedna myśl: zdobyliśmy nowe, wygodniejsze od kubków naczynie do gotowania wody i zup (czytaj: zupa chlebowa). Co prawda w ciągu dnia nie wahamy się już pić wody z rzeki. Była zresztą czysta, wprost kryniczna i bardzo smaczna. Tej nocy nasz niebieski namiot usiany jest gwiazdami. Z bezchmurnej pogody korzysta kpt. Janusz, który po raz drugi dokonywa pomiaru astronomiczne-



go, tym razem według gwiazd. Wynik jego obliczeń potwierdza całkowicie pierwszy pomiar położenia geograficznego naszej puszczy.

Układamy się wreszcie do snu, aby już trzecią z kolei noc spędzić pod gołym niebem w puszczy, w warunkach znacznie jednak pomyślniejszych niż pierwsze dwie noce.

Nocami dochodzą do głosu myśli, które w ciągu dnia staramy się stłumić. Nie przypuszcza przecież nikt, że jesteśmy tak zupełnie pozbawieni serca, aby myślami nie wyrwać się do kraju, nie myśleć o tym, że nasi najbliżsi niepokoją się o nas, że tak długo pozostając bez wiadomości o naszym losie, żyją w trwodze i obawie, w tej niepewności, która gorsza jest od najsmutniejszej prawdy. Myśli te jednak w ciągu dnia podczas długiej wędrówki osłabiłyby naszą odporność. Staramy się więc za wszelką cenę nie dopuszczać ich do świadomości, aby nie podkopywały naszych sił psychicznych. W nocy jednak, kiedy bezwolni spoczywamy we śnie, myśli te budzą się i niepokoją naszą senną wyobraźnię. Nawiedzają nas koszmarne sny, z których budzimy się złani potem. Pojawiają się nam twarze najbliższych osób, którym tak gorąco pragnęlibyśmy dać znać o sobie, uspokoić ich że żyjemy i że uparcie wywalczamy każdy metr drogi, który nas dzieli od kraju i od nich.

Czwartego dnia naszej tułaczki po puszczy świt zastaje nas pogrążonych w głębokim śnie. Budzi się dzień słoneczny i pogodny. Wstajemy pełni otuchy, otrząsamy się z resztek snów, które nas trapiły w nocy i jaśniej już patrzymy w przyszłość. Słońce wlewa w nas nowe siły i nadzieję, że wobec sprzyjających warunków, uporamy się tego dnia z dużym szmatem drogi, który nas dzieli od osiedli ludzkich. Nie spodziewamy się jednak pomocy ludzkiej w najbliższym czasie. Liczymy wyłącznie na własne siły. Jesteśmy przygotowani na to, że samotna nasza wędrówka w bezludnej puszczy potrwa jeszcze wiele dni. Ograniczamy więc naszą rację żywności. Przypuszczamy, że władze sowieckie, zaniepokojone o nasz los, wyślą na pomoc samoloty, aby nas odszukały. Mówiliśmy na-

wet o tym, że wartoby nocami i w ciągu dnia rozpalać wielkie ogniska, któreby przelatującym samolotom ułatwiły odnalezienie nas. W końcu jednak rezygnujemy z tych projektów. Nie chcemy tracić czasu. Ostateczny ten środek zachowujemy sobie na później, kiedy sytuacja stanie się już groźną, kiedy nie będziemy mieli innego wyjścia.

*Piątek dn. 4 września.*

O godz. 4.30 (według naszych zegarków) ruszamy w drogę. Jak już zaznaczyłem, zapowiada się piękny dzień. Początkowo trzymamy się lewego brzegu rzeki, na którym nocowaliśmy. Ale znowu droga staje się coraz trudniejsza, to też przenosimy się około południa na prawy brzeg i brniemy dalej przez wertepy. W milczeniu, w zaciętej walce z trudnościami terenu mija godzina za godziną. Teraz nie trzymamy się już niewolniczo jednego i tego samego brzegu. Trudno nawet zliczyć, ile razy go zmieniamy. Czynimy to ilekroć się nam zdaje, że drugi brzeg jest lepszy, i nadarza się sposobność względnie dogodnego przejścia przez rzekę po naturalnych, ręką przyrody wzniesionych mostach i tamach.

Nie zawsze taka przeprawa odbywa się bez przypadku. Nieraz zsuwamy się z oślizgłych pni do wody, zanurzając się po pas i wyżej. Takie przymusowe kąpiele już nas jednak nie przerażają. Zdążyliśmy się przyzwyczaić do mokrych butów i ubrań, które zresztą w pogodne dni, podczas marszu, szybko znowu wysychają. Gorzej było, kiedy do wody wpadł kpt. Janusz, który w swoich workach niósł nasze skromne zapasy żywności. Pierwsze słowa Antka w takich wypadkach były bardzo charakterystyczne. Pomijał milczeniem swoją osobę, wołając, zanim jeszcze zdążyłem się spytać co się stało:

— Nie bój się, żywność jest sucha.

Skromne nasze zapasy były daleko ważniejsze od nas samych. Poświęciliśmy im więcej troski niż naszym ubraniom. Kwestia wyżywienia była zresztą głównym tematem naszych

skąpych rozmów podczas marszu. Kpt. Janusz często wspominał, że należy koniecznie zdobyć nowe środki żywności. Te jego wzmianki niepokoiły mnie nieco. Wynikało z nich bowiem, że, zdaniem Antka, sprawa rychłego dotarcia do osiedli ludzkich przedstawia się dość problematycznie. A że strzeżonego Pan Bóg strzeże, przeto zapasami dzieliliśmy się tak, aby starczyły na kilka dni tułaczki po lasach. I starczyłyby z pewnością.

W czwartym dniu wędrówki, kiedy oddaliliśmy się od brzegu i zagłębili znowu w las porastający wzgórza nad rzeką, natrafiliśmy na krzewy obsypane czarnymi jagodami.

Żywiliśmy się nimi przez cały dzień, oszczędzając w ten sposób własne zapasy. Wprawdzie schylanie się po nisko rosnące jagody sprawiało nam podówczas wiele trudu, a w miejscach postoju czy noclegów jagód jak na złość nie było. Napotkaliśmy także zmarznięty głóg. Kiedy Antek nie chciał go jeść, przypomniałem mu, że jacyś święci pustelnicy w puszczy żywili się również korzonkami i owocami leśnymi, a nie pomierali. Ten argument ostatecznie przekonał Janusza do głogu i innych nie dość znanych nam owoców.

Pewnym urozmaicheniem tego dnia było polowanie na dziką kaczkę. Pływała sobie samopas na małym stawku w bagnistym lesie, pluskając i nurkując w wodzie pod słonecznym, wrześniowym niebem. Widok barwnego ptaka zaostrzył nasz apetyt na mięso, chociaż bynajmniej nie mieliśmy zamiaru zjeść jej natychmiast, chcieliśmy raczej uzupełnić nią nasze zapasy. Mimo, że kaczka jeszcze pływała sobie wesoło po wodzie, już snuliśmy plany, w jaki sposób ją upieczemy, jak doskonale nam będzie smakowała.

— Ubij ją — rzekł Janusz, wręczając mi swój rewolwer.

Począłem ostrożnie podkradać się do kaczki, co zajęło mi około pół godziny czasu. Kryłem się wśród gąszczy szuwarów, posuwałem się szybkimi skokami naprzód w chwilach kiedy kaczka znajdowała się pod wodą, aby jej, broń Boże, nie spłoszyć. Nerwy nasze naciągnięte były jak struny. Uda się czy



też nie, upolować przedmiot naszych marzeń, który pozwoliłby nam przetrwać jeszcze kilka dni dłużej w puszczy. Wreszcie z odległości dwóch metrów, po długim celowaniu pada strzał. Kaczka, widocznie trafiona, zerwała się z tafli jeziora, podfrunęła kilka metrów i... opadła w niedostępne sitowie. Przepadła. Mowy nie ma, żeby ją odszukać. Przerwę w marszu wykorzystał Janusz, żeby nazbierać pełny termos jagód, które w tym miejscu dojrzewały obficie.



Rzeka Czuś, której brzegiem doszli nasi aeronauci do pierwszych osiedli ludzkich.

Niekiedy próbowaliśmy skrócić sobie drogę, idąc na przełaj przez las, aby nie tracić czasu na liczne zygzaki, którymi wiała się nasza kapryśna rzeczka. Nie zawsze nam to jednak wychodziło na dobre. Błądziliśmy w koło, traciliśmy orientację i w końcu zmuszeni byliśmy wracać tą samą drogą do miejsca, w którym rozstaliśmy się z rzeczką. Zamiast zyskiwać,

traciliśmy tylko na czasie. Coś podobnego zdarzyło się nam, kiedy natrafiliśmy na rozgałęzienie rzeczki i byliśmy zmuszeni iść wzdłuż jednej jej odnogi. Oczywiście — inaczej być nie mogło — obraliśmy fałszywą odnogę, która gubiła się gdzieś w lesie, nie łącząc się z głównym nurtem rzeki. Po dwóch godzinach marszu musieliśmy się znowu cofać.

Tego samego dnia spotkała nas w lesie, po lewym brzegu rzeki, nowa niespodzianka. W pewnej chwili gęsta ściana drzew przerzedziła się i wkrótce wyszliśmy na rozległą polanę. Ucieszyliśmy się w cichej nadziei, że może wreszcie skończy się strefa lasów.

Tutaj, korzystając ze słońca, Antek usiłuje osuszyć ubranie i oczyścić je z błota, które oblepiało je grubą skorupą. Rozebrawszy się jednak, począł tak strasznie dygotać z zimna mimo słońca, że czym prędzej poniechał tego zamiaru.

Po skromnym posiłku usiłujemy przejść przez polanę na przełaj. Teren wydaje się nam dogodniejszy dla marszu. Znowu jednak rozczarowanie. Czym dalej oddalamy się od skraju lasu, tym bardziej grzęźniemy w coraz głębszych błotach, zmuszających nas do odwrotu. Cofamy się znów o pół kilometra od rzeki, aby przejść na jej prawy brzeg. Musimy forsować liczne, szeroko rozlane, chociaż płytkie dopływy. Wciąż przedzieramy się przez gąszcza, wysokie trawy, przez bezdroża pełne wykrotów, zdradzieckich pułapek i splotów korzeni.

Zmęczenie coraz więcej daje nam się we znaki. Idziemy już przecież czwarty dzień, tracimy poczucie czasu, nie mamy oczu dla otaczającego nas krajobrazu. Każdy metr drogi wywalczamy z coraz większym wysiłkiem. Idziemy jak automaty, w zupełnym odrętwieniu. Ze mną jest nawet tak źle, że zaczynam majaczyć na jawie i tracię świadomość tego gdzie jestem. Zapominam, że idę z Januszem. Wciąż zdaje mi się, że to mój brat — Bronek. Można sobie wyobrazić zdziwienie mego towarzysza, kiedy nagle zaczynam go nazywać imieniem brata. Kiedy w nielicznych naszych rozmowach napomknąłem o bezsennych nocach i dręczących mnie koszmarnych snach,

kiedy poruszałem sprawy naszych najbliższych i ich obawy o nasz los, Antek pocziwie beształ mnie i celowo zaczynał rozmowę, o... wojnie hiszpańskiej.

Po nocach i podczas marszu myśli nasze mimowoli krążyły koło tematu niezbyt wesołego — dookoła śmierci, której widmo nieraz zaglądało nam w oczy. Muszę przyznać, że nie lękaliśmy się jej i z myślą o niej zdążyliśmy się już oswoić. Trapiło mnie jedynie to, że w razie smutnego końca nikt nie znajdzie naszych ciał i rodziny nasze nie dowiedzą się nawet, gdzie i w jakich okolicznościach zginęliśmy. Najwięcej zaś dręczyła nas nasza niemoc, bezsilność i świadomość, że nie możemy dać znać o sobie, że nie możemy przestać do kraju wiadomości o tym, że jeszcze żyjemy. Na szczęście te czarne myśli gnębiły mnie jedynie w chwilach największej depresji i przemęczenia nerwowego. O Antku muszę powiedzieć, że na ogół trzymał się dzielnie i pocieszał mnie. Jeżeli zaś zdarzały się chwile osłabienia energii, to następowały po nich także chwile beztrudnej wesołości i humoru, choć nieraz nieco wymuszonego.

Czas wreszcie pomyśleć o noclegu i posileniu się, gdyż tego dnia żywiliśmy się wyłącznie uzbieranymi po drodze jagodami. Rozpalamy więc ognisko, zjadamy trochę czekolady i chleba, po jednym cukierku i zapijamy to wszystko gorącą wodą z miodem. W dzień było słonecznie i nawet upalnie, w nocy jednak, roziskrzanej tysiącem gwiazd — powiało mroźnym chłodem. W ciągu dnia pot lał się z nas strumieniami, teraz zaczęliśmy drżeć i dygotać z zimna. Gorzej jeszcze, bo rozgwieżdżone niebo zaczęło wkrótce powlekać się chmurami, grożącymi deszczem. Nocowaliśmy pod gołym niebem w sposób wypraktykowany i udoskonalony. Miejsce pod nasze legowisko osuszyliśmy przed tym za pomocą ognia. Na ciepłym popiele usłaliśmy miękkie posłania z sitowia, później rozpaliliśmy obok drugie ognisko, nie żałując drzewa. Przed deszczem zabezpieczyliśmy się, uginając mniejsze drzewka i wiążąc ich czuby, co tworzyło rodzaj namiotu nad naszymi posłaniami. Prowizo-



ryczny dach uszczelniliśmy szerokimi wachlarzami z gałązek sosnowych.

Tej nocy, mimo wesoło trzaskającego ognia, było piekielnie zimno. Później, jak przewidywaliśmy, spadł nadomiar złego deszczu i zalał ognisko. Wstawaliśmy często, aby rozgrzać skostniałe z zimna członki. Usiłowaliśmy rozpalić nowe ognisko, ale mokre drzewo nie chciało się zająć. Z radością powitaliśmy świt, który tutaj poczyną rozjaśniać nocne niebo już około godziny 3-ciej (według naszych zegarków).

Gdy zaś słońce weszło na niebo, zastało dwóch samotnych wędrowców już w marszu. Widok tych umorusanych postaci nie był zachęcający. Spod nasuniętych na czoło beretów spoglądały w świat przemęczone i podkrążone głębokimi cieniami oczy. Twarze czarne i osmalone od dymu i popiołu, od tygodnia nie myte, obsypane bujnie chwasczącym się zarostem.

— Antek, czarny jesteś jak diabeł — zauważyłem, gdy się rozwidniło.

— Do twarzy ci z wąsami — pocieszam go dalej.

— Tak sądzisz? — mówi Janusz — może się w ogóle prześtać golić? A czy rosną przynajmniej?

Z kolei Janusz śmieje się ze mnie, stwierdzając, że i moja broda rośnie jak na drożdżach. W dodatku pociesza mnie tym, że mimo wszystko wyglądam bardzo przystojnie. W ten sposób baraszkujemy w chwilach wesołości, które każą nam zapominać o trudach i niepewnej przyszłości. Każdy z nas jest ciekaw swego wyglądu. Nie posiadając jednak lusterek, pochyłamy się nad taflą wodną, aby w jej lustrzanym odbiciu ujrzeć twarze leśnych ludzi. Z trudem rozpoznaliśmy w wodnym zwierciadle nasze oblicza.

Rzeka płynie wśród lasów coraz szersza i coraz głębsza. Pociesza nas to i napawa nadzieją, że niedaleko już do osiedli ludzkich. Czas najwyższy, aby nasza przewodniczka wywiodła nas wreszcie z bezbrzeżnej puszczy, gdyż nogi zaczynają już odmawiać posłuszeństwa. Stopy okaleczone, pończochy podar-

te. Wskutek przedzierania się przez gąszcza, ostre trawy i sitowia, jesteśmy poranieni aż po kolana. Obuwie, w dzień przemoczone do cna, w nocy zasycha i rano jest twarde jak blacha, tak że z trudem wciągnąć je można na nogi. Opuchnięte i poodparzane stopy owijamy bandażami, gdyż jedna jedyna moja zapasowa para pończoch spaliła się pierwszego dnia podczas suszenia. Janusz wciąga na nogi dwie pary pończoch. Całe szczęście, że z przemoczonych zapalek zdołaliśmy uratować i osuszyć jedno pudełko, które umożliwia nam w dalszym ciągu rozpalanie ognia.

## VII.

### NARESZCIE WŚRÓD LUDZI.

*Sobota, dn. 5 września — piąty również dzień wędrówki.*

Zmuszamy się, wczesnym rankiem, do przełknięcia kawałka chleba z masłem, które już mocno cuchnie. Dwa cukierki i ciepła woda z miodem dopełniają śniadania. Idziemy prawym brzegiem rzeki. Około południa, za lasem rozjaśnia się i wychodzimy znowu na polanę, którą witamy radośnie. Znacznie już lepszą i wygodniejszą drogę pozeramy długimi krokami. Idzie się nam raźnie, a na duszy jakoś dziwnie, beztrosko i wesoło. Raptem Antek chwytą mnie za rękę i wskazuje na rząd wysokich żerdzi, poustawianych na bardzo wyniosłych kępach. Nie ulega wątpliwości — to dzieło rąk ludzkich. Niebawem czeka nas jeszcze większa niespodzianka. Po godzinnym marszu wzrok nasz pada na pierwsze napotkane stogi siana. Nie możemy się tylko zorientować, czy to tegoroczny zbiór, czy też z przed roku, ale mniejsza z tym! Nieco dalej natrafiamy na trzy opuszczone chaty, a zbliżając się do owych stogów, głośnym wybuchem radości witamy... nawóz koński i ślady końskich kopyt. „Żyjemy“ — „Ocaleni“ — wołamy, ha! krzyczymy po prostu, ściskając się za ręce. Docieramy do pierwszego stogu. Wspinam się na barki Antka i przy jego pomocy wchodzę na sam wierzchołek, aby z tej wyżyny rozejrzeć się po okolicy. Na widnokręgu, wśród niezliczonej ilości kóp siana widnieją ciemne plamy, mające zarysy chat. Określam Januszowi poło-



żenie i kierunku, w którym są one widoczne. Opadają z nas wszelkie troski o jutro, do tej pory przedstawiające się nader mgliście i niepewnie. Rzucamy się na trawę i zjadamy nasz urzędowy obiad, poczem ucinamy sobie godzinną drzemkę. Janusz raz jeszcze dokonywa pomiaru astronomicznego według słońca, które nie skąpi nam w tych chwilach swego drogocennego ciepła. Miękkie posłanie z siana pieści strudzone członki. Gwarzymy wesoło, jak dzieci, śmiejemy się, dowcipkujemy na temat naszych przygód. Antek wchodzi do rzeki po kolana, aby ochłodzić obrzmiałe nogi. W pewnej chwili, szukając czegoś po kieszeniach, odnajduję — o radości — pognieciony, lecz autentyczny okaz „płaskiego“.

— Antek, papieros! — wołam z triumfem.

Certujemy się długo, który pierwszy się zaciągnie.

Nie chcemy palić na wietrze, żeby nie przyspieszać procesu spalania. Zapalamy go dopiero pod osłoną kopy siana.

O godz. 15-tej kierujemy się wygodną drogą przez łąki, wprost na domek, który widziałem ze stogu. Nogi niosą nas same po skoszonej trawie. W ciągu pół godziny przebywamy dwa kilometry i zbliżamy się do coraz wyraźniej zarysowujących się chat. Wygodna ścieżka doprowadza nas do opłotków. Po drugiej stronie rzeki widzimy drugą chatę, opodal trzecią, czwartą. Nagle Janusz przystaje i wskazuje w zupełnie innym kierunku, krzycząc na cały głos:

— Patrz Staszek! Prawdziwy, żywy koń!

Opodal na łące istotnie pasie się czworonóg ze spętanymi nogami. Budzi on w nas daleko większy entuzjazm niż same chaty. Po chwili z poza krzewów i drzew wyłania się drugi koń. A gdzie są konie, tam musi być i człowiek. Nareszcie więc jesteśmy wśród ludzi.

Jeszcze tylko kilka kroków dzieli nas od chaty, do której dochodzimy, idąc wzdłuż rzeki. Drzwi chaty zamknięte są na kłódkę, ale obok na śmietniku spostrzegamy świeże ości ryb. Na płocie suszą się sieci rybackie, pod ścianą leżą siekiery i toporki. Zaglądamy przez okno do wnętrza chaty i widzimy

ręcznik, a na oknie gazetę, paczkę z... machorką i zapalki. Przed domem stoi prymitywny, z desek zbitý stół, na który rzucamy nasze toboły i worki. Wzrok Janusza pada na wycięte scyzorykiem na desce rosyjskie litery R. I. A. oraz datę 1. IX. 1936 r. Niezbity dowód, że przed kilku dniami byli tutaj ludzie. Zaczynamy wesoło pohukiwać, aby dać znać o sobie. Bezskutecznie. Nikt nam nie odpowiada.

Żołądek zaczyna się upominać o swoje prawa. Podczas radosnych wzruszeń zapomnieliśmy o nim zupełnie. Sieć, która się suszy na płocie, budzi w nas apetyt na rybkę. Już poprzednio Janusz, nabierając z rzeki wody do picia lśniącem termosem, zauważył, że ryby z ciekawością przyglądają się, błyszczącemu w wodzie, przedmiotowi. Zabieramy więc wężerz i zarzucamy go do wody tuż przy brzegu, a jako przynętę między wężerzem i brzegiem zanurzamy lśniący termos. Nie czekaliśmy długo. Po chwili wężerz zakołysał się gwałtownie. Biegniemy doń i wyciągamy go z rzeki. Trzepocą się w nim dwa wspaniałe okonie, zupełnie wystarczające na kolację dla naszych wygłodzonych żołądków. Zarzucamy jeszcze raz sieć, ale bezskutecznie, zostawiamy więc ją w wodzie. Okonie zabijamy i wracamy do chaty. Antek roznieca ognisko, ja zabieram się do oskrobania ryb. Przypominamy sobie, że rybę trzeba tak wypaproszyć, żeby nie przeciąć woreczka żółciowego, ale jak ten woreczek wygląda i gdzie się znajduje — obaj zielonego pojęcia nie mamy.

Jest już godzina siódma i zapada zmrok. Ludzi ani śladu. Nie martwimy się tym zbyt, gdyż po drugiej stronie rzeki zauważyliśmy dwie łodzie. Stwierdzamy jednomyślnie, że ludzie w tych warunkach nie są nam koniecznie potrzebni. W razie gdyby nikt się nie zjawił, przepłyniemy rzekę i zawładniemy jedną z łodzi, którą odbywać będziemy dalszą drogę w dół rzeki.

W chwili kiedy kończymy przygotowania do kolacji, ciszą wieczorną mąci nagle plusk wiosel i słysząc głosy ludzkie. Biegniemy nad rzekę i wołamy głośno w noc:

— Chadicie siuda, towarzysze. My polskie lotcziki. My etranżery.

Krzyczmy i wymachujemy naszymi kijami. Z łodzi usłyszano nas. Powoli czółno, płynąc pod prąd, zbliża się do brzegu.

— Zdrastwujcie towarzysze — wołamy znowu.

— Zdrastwujcie — odpowiadają nam z łodzi, która już przybija do brzegu. Na ląd wyskakuje czterech mężczyzn i jedna kobieta. Mało brakowało, byśmy ich uściskali z radości. Toż to *pierwsi ludzie*, których oglądamy od tygodnia.

Początkowo odnoszą się do nas z pewną nieufnością, ale lody pryskają wnet, kiedy pokazujemy im nasze dokumenty z rosyjską wizą. Teraz dopiero mówią nam, że bali się, iż jesteśmy bandytami. Bowiem kilka dni temu jacyś bandyci, którym udało się zbiec z więzienia w Onedze, odwiedzili opuszczone chaty rybackie w pobliżu i ograbili je z tak cennej na tym pustkowiu żywności.

Nasz paszport upewnia ich, że jesteśmy zabłąkanymi lotnikami, ze strony których nic im nie grozi. Szybko zaprzyjaźniamy się ze sobą. Zapominamy o okoniach i łamaną ruseczyzną a częściowo po polsku opowiadamy im o naszych przygodach, o tym, jak od pięciu dni tułamy się po puszczy w poszukiwaniu osiedli ludzkich. Nie bez celu napomykamy, że żołądki nasze są wygłodzone. Zrozumieli tę delikatną aluzję i niewiasta w mig zakrzętnęła się koło uwarzenia ciepłej strawy. Ognisko przed domem już płonęło. W ruch poszły garnki i łyżki, i po chwili nozdrza nasze poczęły łechtać miły zapach zupy z ryb.

Przed tym jednak organizmy nasze bardziej od jedzenia domagały się tytoniu.

— „U nas papierosów niet, a tolko machorka.“

— „Dawajcie machorki, wsio rawno.“

Nie umiemy jednak skrócić papierosa. Prosimy naszych gospodarzy o wyręczenie nas. Bibulek nie mają. Zamiast nich używają wszyscy papieru gazetowego. Wszystko jedno.



Grunť, że jest co palić. W mgnieniu oka ukręcili papierosa, poślinili, zalepili. Z rozkoszą wciągamy ostry dym machorki do wygłodzonych płuc. Wcale nie najgorsze.

Wreszcie i kolacja gotowa: smaczna zupa rybna, gotowane „kartoszki“ (kartofle), chleb, masło „toplone“ (topione), „sahar“ (cukier), i „czaj“ — t. zw. „malinowy napitok“ (herbata z suszonych malin). Beztrosko gwarząc, zapraszani gorąco przez gospodarzy, by sobie nie żałować, spożywamy smaczną wieczerzę. Ale pilnujemy, aby się nie objeść, nie przeciążyć naszych osłabionych żołądków i nie rozchorować się. Nasi zacni gospodarze, ludzie prości, ale serdeczni i gościnni, usprawiedliwiają się, że nie mogą nas ugościć lepiej i zapraszają do spożywania darów bożych, tak ujmującymi nas za serce i przypominającymi nam nasz kraj, słowami:

— „Czym chata bohata, tym rada“, dodając, „Gość w domu, Boh w domu“.

Wyciągamy nasze własne zapasy. Było tego jeszcze kilka gramów zjełczałego masła, kawałeczek chleba, trochę czekolady i miodu i kilka cukierków. Nadmieniamy naszym gospodarzom, że starczyłoby to nam jeszcze na kilka dni co najmniej. Śmieją się z nas do rozpuku i uważają to za kiepski żart. Gniewa nas to nieco, ale w końcu śmiejemy się z nimi. Istotnie trudno się nie śmiać, patrząc na te okruchy, których nie wystarczyłoby nawet do nakarmienia jednego głodnego człowieka.

Zapasy nasze są już zbyteczne. Częstujemy nimi naszych gospodarzy. Dla nich to smakołyki. Z wyjątkiem najstarszego z nich, nikt nie widział nawet na własne oczy miodu. Zнали go tylko ze słyszenia i jedzą teraz po raz pierwszy w życiu, smakując z nabożeństwem. Łapczywie także pochłaniają „szokolad“ (czekoladę) i „konfiekty“ (cukierki), pełni podziwu, że tak smaczne rzeczy wyrabia się w Polsce. Wzbraniają się nawet przyjmować je od nas, ale tłumaczymy im, w tej chwili o wiele bardziej od cukierka smakuje nam kartofel i rybna zupa.

W toku rozmowy, po wieczerzy, dowiadujemy się, kto zaczął nasi gospodarze. Jest to jedna rodzina wysłana przez miejscowy Sielsowiet na sianokosy i połów ryb. Notujemy sobie nazwiska znacznych rybaków. Oto one: Riechow Dmitrij Mikołajewicz, Kabryń Andrej Mikołajewicz, Riechow Iwan Lawrentowicz, i Riechow Jegor Aleksiejewicz, ten sam młody chłopiec, który wyrył na stole swoje inicjały. Nazwiska niewiasty zapomnieliśmy zanotować. Od ludzi tych dowiadujemy się także dokładnie, gdzie się znajdujemy, jak się nazywa rzeka, nad którą wędrowaliśmy do osiedli ludzkich. Wiemy już teraz, że to rzeka Czus, że wpada ona tutaj do rzeki Ileksy, że jezioro położone w pobliżu nazywa się Tunozero. Dalej mówią nam, że do najbliższej wioski jest 13 km drogi łodzią, do morza Białego około 100 km, do Archangielska około 200, do Onegi 100, a do Leningradu i Moskwy około 1500 km. Zapisujemy sobie także dokładny adres: „Siewierny (północny) kraj, Onieskij rejon, Nosowski Sielsowiet“.

Zbieramy nie tylko adresy poczcivców, ale także i autografy. I o dziwo, wszyscy umieją się podpisać pięknym, czytelnym pismem, nawet najstarsi.

Podczas wieczerzy zaobserwowaliśmy ciekawy szczegół. Każdy z naszych gospodarzy posilał się z własnych zapasów, nie dzieląc się nimi z towarzyszami. Nas częstowali równomiernie, prześcigając się wzajemnie w grzecznościach. Pytamy się, jak pracują i jak żyją. Są wydelegowani przez miejscowy Sielsowiet celem wykonania pewnych prac, jak: sianokosy i rybołówstwo w rejonach oddalonych od wioski. Jedynymi drogami, udostępniającymi puszcze są drogi wodne, lub wąskie ścieżki przecinające lasy i bagna, tak zwane „tropinki“. Dróg kołowych nie ma tutaj na lekarstwo. Konie, potrzebne do zwożenia siana z łąk, przytransportowywują łodziami. Żywność na swoje bezludzie otrzymują z wioski Nosowszyna. Zegarków nie mają, czas obliczają według słońca. Mięsa prawie w ogóle nie znają, żywiąc się rybami, chlebem, kaszą i mąką. Ubrani są biednie, lecz dostatecznie. Wszyscy się gołą (oprócz

kobiety oczywiście). O Polsce i Warszawie słyszeli. Opowiadał im o naszym kraju najstarszy z rybaków, który był marynarzem rosyjskim.

Po wieczery kładziemy się do snu w jednej izbie chaty, na podłodze wymoszczonej sitowiem i miękką trawą. Śpiemy wszyscy razem i od razu zapadamy w kamienny sen. Ale o godzinie 4-tej rano już pobudka. Pora wyruszyć w dalszą drogę.

*Niedziela, dn. 6 września.*

Posileni „malinowym napitkiem“ i chlebem z masłem, ruszamy w drogę do Nosowszyny, oddalonej o 13 km. Odwozi nas łodzią jeden z rybaków. Jedyny to odcinek w naszej wędrówce do kraju, który przebywamy drogą wodną. Łódź wygodna. Z początku wiosłuje nasz przewodnik, później jednak, kiedy zaczyna nam dokuczać ziąb, sami chwytny za wiosła, aby się rozgrzać. Wiosłowanie nie wiele zresztą wymaga pracy, gdyż płyniemy z prądem, w dół rzeki Ileksy. Od samego rana przyświeca nam słońce, później padają przelotne deszcze. Mokniemy i szczególnie dotkliwie odczuwamy zimno w nogach. Jazda łodzią daje wytchnienie zarówno naszym zmęczonym kościom, jak i myślom. Teraz dopiero możemy zwrócić większą uwagę na przesuwający się koło nas krajobraz. Piękny on i rozległy, skąpany w powodzi światła. Niebo z rana czyste jak kryształ. Wzgórza, które towarzyszyły rzece na poprzednich odcinkach, ustąpiły miejsca równinie. Brzegi szerokiej rzeki są porośnięte sitowiem, i roślinami wodnymi, dalej ciągną się łąki i łąki, na których sterczą wysokie stogi siana. Lasy pozostały daleko poza nami. Na łąkach spotykamy kosiarzy. Podziw w nas wzbudza sposób koszenia łąk. Wszędzie posługują się maszynami - kosiarkami, dostarczonymi przez Kolchoz. Niebawem rzeka nasza wpada do jeziora bardzo płytkiego i zarośniętego wodorostami, ciągnącego się na przestrzeni 5 km. Po przedarciu się przez zarośla wodne wypływamy na szersze już wody Ileksy. Znowu podchodzą do rzeki lasy porastające wysokie jej



brzegi. Nad głowami naszymi uwija się mnóstwo ptactwa wodnego, które stadami podrywa się z szuwarów, przestraszone pluskiem naszych wiosel. Dzikie kaczkę, gęsi i łabędzie wypełniają powietrze łopotem swych skrzydeł i rozgwarem krzyków trwogi. Płyniemy bez przerwy, a 10 km przebywamy w pięć godzin prawie. Nieduża to szybkość jak na naszą łódź, ale trzeba pamiętać, że wiele czasu zajęło nam przebycie stojących i płytkich wód zarośniętego jeziora. Około godz. 10.30 opuszczamy łódź i dalszą drogę do wioski Nosowszyny odbywamy pieszo, znacznie krótszą niż droga wodna, „tropinką“, wijącą się przez gęsty las. Zabiera nam to około godziny.

Po drodze spotykamy licznych chłopców, którzy wybrali się z puszczy do Kołchozu po żywność i teraz wracają do domów. Przystają na nasz widok i z ciekawością dopytują się—co my za jedni? Załamują ręce z podziwu, z dziecięcą naiwnością oglądają obcych przybyszów i idą w dalszą drogę.

Później spotykamy człowieka, uzbrojonego w strzelbę i w pas z nabojami, który powraca z połowu ryb. Jest to „predsiedatiel“ (przewodniczący) Sielsowietu. Zaprasza nas na swoją łódź, którą dowozi nas do wsi razem z naszym przewodnikiem. W drodze opowiada nam, że zna dobrze Polskę, że brał udział w wojnie polsko - bolszewickiej, walczył pod Łomżą i dostał się do naszej niewoli wraz ze swoimi towarzyszami broni. Przebywał przez długi czas w obozie jeńców w Strzałkowie. Gdy się dowiedział ode mnie, że urodziłem się pod Gnieznem, bardzo się ucieszył, że zna te okolice. Jakże mały jest świat! W tej bezludnej puszczy spotykamy człowieka, który zna nasze rodzinne strony.

Spotkany w drodze przewodniczący Sielsowietu, rozumiejący jeszcze dość dobrze po polsku, początkowo odnosi się do nas dość chłodno. Źródło chłodu — to niemiłe wspomnienia z czasów wojny i niewoli, podczas której w obozie jeńców dużo jego kolegów zmarło na dyzenterię. Tłumaczymy mu, że — à la guerre, comme à la guerre, że trudno dzisiaj roztkliwiać się nad czasami minionymi. Kuczyn — tak nazywa się nasz

rozmówca — opowiadał nam jeszcze, że później jako jeniec pracował w różnych majątkach w Wielkopolsce, że traktowano go tam bardzo dobrze, i że nauczył się wielu rzeczy z zakresu gospodarstwa domowego. Nasze tłumaczenia trafiają mu do serca, nabiera do nas zaufania i później serdecznie się nami zaopiekował, pozostawiając po sobie jak najmielsze wspomnienia. Był to człowiek, jak się później okazało, nawskroś dobry, bardzo pracowity, znający doskonale swoją pracę i pojmujący swoje obowiązki ideowo. Pobyt nasz w Nosowszynie starał się nam umilić i na każdym kroku służył radą i pomocą.

Wioska Nosowszyna położona jest nad jeziorem, rozbita na dwie części i rozrzucona na dużej przestrzeni. Liczy około 250 domostw. Chaty wszystkie drewniane, zbudowane dość prymitywnie, o jednej izbie i kuchni. Domek, w którym nas umieszczono, jest wyjątkowo czysty i schludny i posiada dwie izby. Tutaj spaliśmy bardzo wygodnie na pościeli rozłożonym na podłodze, pod ciepłą kołdrą.

Po przybyciu do wsi dowiadujemy się, że to właśnie „dzień wychodny“ czyli sowiecka niedziela. Kiedyśmy ujrzeli cerkiew, pytamy się, czy jest jeszcze pop. Odpowiadają nam, że przepędzili go na cztery wiatry. Później jednak, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, we wszystkich prawie chatach znajdujemy obok portretów Lenina, Stalina i Woroszyłowa — ikony. Pytamy się oczywiście, jak to pogodzić z przepędzeniem popa... Ludzie tłumaczą się różnie, a starsi przyznają, że modlą się jeszcze, a jedynie młodsze pokolenie nie wierzy w Boga, że dzieci są niechrzczone. Portrety sowieckich bohaterów narodowych, które spotykamy w izbach, to przeważnie wycinki z gazet i czasopism ilustrowanych.

Pierwszą naszą myślą po przybyciu do wsi jest chęć wystarania się o mapy, na podstawie których moglibyśmy dokładnie określić miejsce lądowania i ustalić naszą dalszą marszrutę do pozostawionego w lesie balonu oraz dalej do kraju. Pytamy się także z ciekawością, czy jest we wsi radio. Jest, ale nieczynne, podobnie jak nasz odbiornik.

Mapy otrzymujemy z miejscowej szkoły, a po obiedzie, na który otrzymujemy doskonały rosół z chlebem i mięso z jakiegoś ptaka, przystępujemy do redagowania depesz do Aeroklubu Rzplitej oraz do ambasady polskiej w Moskwie. Zależy nam bardzo, aby telegramy odeszły jak najwcześniej, żeby w kraju dowiedzieli się, że żyjemy. W obawie, aby depesze nasze były należycie zrozumiane i aby ich przy ekspedycji nie zniekształcono, redagujemy je po rosyjsku przy pomocy uczynnego Kuczyna i miejscowego nauczyciela, ważąc każde słowo.

Niestety, urząd telegraficzny oddalony jest od wioski o 120 kilometrów. Telegramy musimy wysłać przez posłańca do miejscowości Małoszujka nad morzem Białym. Posłaniec musi płynąć rzeką Ileksą 40 km pod prąd, dalej 50 km przebyć pieszo, przedzierając się przez lasy i bagna i dopiero ostatni etap, około 30 km może przebyć konno, lub wozem. W tych warunkach depesze mogą być nadane dopiero po trzech dniach, a posłaniec może ruszyć w drogę dopiero nazajutrz o świcie, gdyż musi przed tym zaopatrzyć się w żywność i przygotować starannie do dalekiego marszu. Normalnie jest także uzbrojony w strzelbę. Opłatą telegramów zajął się towarzysz Kuczyn, a należność za wysyłkę miała zwrócić ambasada Rzplitej Polskiej w Moskwie.

Martwimy się, że w kraju dowiedzą się z tak znacznym opóźnieniem o naszym losie i nalegamy na Kuczyna, aby posłańca nakłonił do jak największego pośpiechu. Tłumaczymy także przewodniczącemu Sielsowietu, że pośpiech jest konieczny z innego jeszcze powodu. Władze sowieckie bowiem wysłał prawdopodobnie samoloty na nasze poszukiwanie i chodzi o to, aby zawiadomić je, że poszukiwania są już zbyteczne.

We wsi jesteśmy oczywiście przedmiotem ogólnego zainteresowania. Cała ludność wioski gromadzi się około nas i ogląda ze wszystkich stron, tak jak gdybyśmy spadli z księżyca.

W chwili, gdy studiujemy mapy i zastanawiamy się nad dalszą drogą, zjawia się w Sielsowiecie młody człowiek, który



później miał się nam stać opatrnościowym przewodnikiem i serdecznym przyjacielem. Był to geolog, Mikołaj Iwanowicz Apuchtin, student Instytutu Geologicznego w Leningradzie, przeprowadzający z ramienia tegoż instytutu studia geologiczne w puszczach rejonu oneskiego. Jest on jednym z członków ekspedycji geologicznej, wysłanej przez rząd Z. S. S. R. w północne okolice Rosji, celem przeprowadzenia studiów nad bogactwami mineralnymi tych okolic. Apuchtin zna dokładnie język angielski, tak, że porozumiewamy się z nim bez trudności, a jest tak serdeczny i uczynny, że od razu przypada nam do serca. Rozumie doskonale nasze położenie i pomaga nam przy wytyczeniu najkrótszej drogi powrotnej do morza Białego. Ustalamy więc, że pójdziemy wpierw pieszo „tropinkami“ przez knieję leśną w kierunku zachodnim do Ileksy, dalej do Kałgaczychy, Peringożjera, i Małoszujki. Postanawiamy skierować się do Małoszujki, położonej nad morzem Białym, gdyż stąd parostatkiem możemy się udać do Onegi i Archangielska, skąd dalsza droga do Moskwy nie przedstawia już żadnych trudności. Na zachód zaś idziemy dlatego, że musimy przecież powrócić do pozostawionego w lesie balonu i zabezpieczyć go. Obliczamy także odległość miejsca lądowania od Nosowszyny. Okazuje się, że jest ono oddalone od wioski o 35 km drogi, na przelaj przez lasy. „Tropinki“ i rzeki są w tych okolicach jedynymi drogami, którymi można przebywać olbrzymie odległości, jakie dzielą tutaj rzadko rozrzucone osiedla ludzkie. Dróg w naszym pojęciu, nawet najskromniejszych, nie ma tutaj wcale. W ogóle w promieniu około 100 km nie ma nawet wozów. Są natomiast łodzie i sanie, którymi posługują się tu nawet latem. W zimie komunikacja jest łatwiejsza. Po zmarznętym śniegu znacznie szybciej można pędzić saniami, bez konieczności obchodzenia bagien, błot i moczarów, które na długie miesiące zimowe zamarzają, przez co stają się dostępne dla człowieka i konia. Latem, o komunikacji konnej mowy nie ma, gdyż w bezdennych bagnach koń utopiłby się wraz z jeźdźcem.

Od geologa i miejscowych chłopów dowiadujemy się, że

mieliśmy ogromne szczęście i czuwała nad nami Opatrzność, skierowując nasze kroki na południe - wschód. Gdybyśmy poszli na zachód, lub północ, przepadlibyśmy bez śladu w lasach i grząskich moczarach, ciągnących się tam na olbrzymiej przestrzeni. Byłoby więcej niż wątpliwe, byśmy w tym kierunku napotkali ludzi.

Na naszą prośbę, przewodniczący Sielsowietu organizuje wyprawę, która nazajutrz, w poniedziałek, ma wyruszyć z nami w drogę do miejsca lądowania balonu. Wymarsz wyznaczamy na godz. 8-mą rano. Apuchtin przyłącza się do wyprawy z własnej woli i oddaje się cały na nasze usługi. Wieczorem w miejscowej spółdzielni, t. zw. „ławce“ zaopatrujemy się w żywność. Kupujemy na kredyt 3 i pół kilo razowego chleba, półtora kilo masła, kilo cukru, paczkę „czaju“ czyli „malinowego napitku“, kilka paczek machorki oraz sześć jaj. Te ostatnie zdobywamy z wielkim trudem. Przy tej sposobności dowiadujemy się, że drobiu we wsi jest bardzo mało. Rachunek ma uregulować później ambasada polska, gdyż przy sobie mamy tylko dolary i złote polskie, których tu nie podobna wymienić. Po odebraniu żywności, towarzysz Kuczyn późnym wieczorem odprowadza nas do naszej kwatery.

— Zawtra idiom — żegna nas serdecznie — w osiem czasow. Wsio budiet w pariadkie — pociesza nas i życzy dobrej nocy.

O północy zasypiamy snem sprawiedliwych, spokojni o jutro i najbliższą przyszłość.

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że skończyły się nasze trudy. Szmata drogi jeszcze przed nami i czeka nas długa wędrówka, która zawiedzie nas znowu w głąb lasu, na błota i bagna, na liczne noclegi pod gołym niebem i niewygody obozowego życia w lasach. Ten odcinek wszakże już będziemy odbywać nie sami i w znośniejszych warunkach, wspomagani dobrą radą i doświadczeniem miejscowych ludzi.

## VIII.

### WYPRAWA PO BALON.

*Poniedziałek, dn. 7 września.*

Tydzień cały już upłynął od naszego startu, od chwili pożegnania z Warszawą. Minał długi tydzień, a w kraju wciąż nie mają o nas wiadomości. Posłańcowi, który dzisiaj skoro świt wyruszył w drogę do Małoszujki — chłop z naszymi telegramami musi przewędrować 120 km z okładem — towarzyszą nasze gorące życzenia, żeby dobrnął szczęśliwie do celu. Oby dobry Bóg ustrzegł go od nieprzewidzianej przygody, któraby go mogła wstrzymać w marszu, oby broń Boże nie zachorował, lub nie złamał nogi w bezludnej puszczy.

O godzinie 8-mej z rana stawiamy się na umówionym miejscu, ale nie zastajemy tam żywej duszy. Dwie godziny czekamy na gromadzących się członków naszej ekspedycji, która nie ukończyła na czas swych przygotowań. Dopiero koło godziny dziewiątej zjawia się towarzysz Kuczyn z przedstawicielem Kolchozu Kabrinem oraz sekretarzem Sielsowietu Moskalkowem i nasz sympatyczny Apuchtin ze swym pomocnikiem Stiepanem. Ci ostatni będą nam towarzyszyć w dalszej drodze, po odszukaniu balonu, aż do Kałgaczychy, gdzie znajduje się baza ekspedycji geologicznej. O godzinie 10.30 wyruszamy w drogę. Jest nas razem siedmiu ludzi. Wszyscy są zaopatrzeni w racje żywnościowe na trzy dni (wędlin, ani konserw mięs-



nych nie udało się zdobyć, chociażby na lekarstwo). Towarzy-  
sze nasi zaopatrzeni są w siekiery i strzelby, a pasy z nabo-  
jami nadają im wojowniczy wygląd. Towarzyszą nam również  
dwa psy — Żorż i Tupka, których zadaniem jest tropić po dro-  
dze zwierzyne, którą mamy zamiar urozmaicać nasze menu  
obiadowe. Początkowo idziemy ścieżynką przez bagna i lasy.  
Prowadzi towarzysz Kuczyn. Bagna przebywamy po drzewach  
układanych wzdłuż bagnistego terenu, ponacinanych z góry,  
aby nogi nie ześlizgiwały się z okrągłych pni. Posuwamy się  
tak w ciągu długich godzin, balansując na niewygodnych kład-  
kach, podpierając się kijami. Błota ciągną się nieprzerwanym  
pasem na przestrzeni wielu kilometrów. Tak jak w uprzedniej  
drodze nie odrywamy wzroku od ziemi, aby broń Boże nie zsu-  
nąć się z kładki i nie wpaść po pas w zdradzieckie bagno. Całe  
szczęście, że na ponadcinanych pniach but znajduje dość silne  
i pewne oparcie.

Tego dnia przebywamy 13 km i pod wieczór docieramy do  
małej budki ukrytej w lesie, w której zwykli nocować myśliwi.  
Teraz my spędzimy tu noc. W ciągu dnia nasi strzelcy ubili  
cztery ptaki: „głuchara“ (głuszca), „kupałę“ (ptaka nieco  
większego od kury) i dwa „riabczyki“ (jarząbki). Szybko za-  
płonęło ognisko. Ustrzelone ptaki trafiły do zręcznych rąk,  
które je z grubsza oskubały, opaliły i wypaproszyły, tak, że  
niespełna po godzinie zasiadamy dookoła kociołka, z którego  
bucha już smakowita woń rosołu i gotowanego mięsa. Ptaki,  
choć przygotowane prymitywnie, bez włoszczyzny, korzeni  
i przypraw, smakują nam nadzwyczajnie. Zjadamy wszystko,  
a po naszej uczcie nie zostaje nawet ślad najmniejszej kostecz-  
ki, bowiem w uczcie tej wzięły udział Żorż i Tupka, które już  
przed tym obżarły się ptasimi wnętrznościami. Na następny  
dzień przewodnicy nasi obiecują nam piecyste z leśnego  
ptactwa.

Śpimy — Janusz, Apuchtin, Moskalow i ja w opalanej iz-  
bie, reszta zaś przy ognisku pod gołym niebem. Zanim jednak  
ułożyliśmy się do snu, jeszcze długo w noc gwarzymy o minio-

nym dniu. Przebyliśmy niewiele kilometrów, to też nie odczuwamy zbytniego zmęczenia. Pogoda nam sprzyjała, dzień był słoneczny, więc i humory dopisywały. Podczas monotonnego marszu po pniach, często - gęsto odpoczywaliśmy, aby skrócić i zapalić papierosa z machorki (w tej chwili kiedy piszę te słowa zaciągam się z rozkoszą dymem „egipskiego“, ale nie mogę powiedzieć, żeby ów leśny papieros z machorki, zawijany w gazetę, smakował mi wówczas gorzej...).

— Pakurim, pakurim — wołał z przodu nasz przewodnik, proponując często chwile wypoczynku. Słowo to towarzyszyło nam nieodstępnie w tej drodze, znacząc przebyte kilometry, niczem kamienie milowe znaczące bite drogi w Europie. Towarzysz Kuczyn troszczył się o nas w drodze jak najczulsza matka, mawiając ustawicznie: „trzeba tym „mużikom“ coś pokazać“.

Naszą sjęstę przy ognisku przerywa nagle dziki wrzask jednego z towarzyszy. Zrywamy się wszyscy na równe nogi i pędzimy do miejsca, gdzie złożyliśmy nasze toboły. Psy dorwały się do naszych zapasów i zdołały już pożreć prawie pół kilo masła. Z trudem udaje się nam je odpędzić. Paskudne obżartuchy, nie dość im było jelit i kości ptaków, musiały jeszcze uzupełniać wieczerzę naszymi zapasami. Z myślą o obiecanych pieczystem z ptaków, które dziś jeszcze latają sobie swobodnie po lesie, układamy się do snu. Śpię z Antkiem na wąskiej przychy. Jest bardzo niewygodnie i właściwie nie śpimy prawie wcale, a to już nas mało wzrusza.

*Wtorek, dn. 8 września.*

Po prawie bezsennej nocy wstajemy krótko po godzinie szóstej z rana. Zjadamy śniadanie i w dalszą drogę ruszamy na północ dróżką, wiodącą przez gęsty las. Każdy z nas dźwiga swój prowiant i swoje tłomoki. Po przejściu dwunastu kilometrów docieramy do rzeki Czus. Wreszcie więc jesteśmy znów w rejonie, w którym wylądowaliśmy. Natrafiamy na pierw-

szą, napotkaną w drugim dniu marszu „izbuszkę“, która pozwala nam zorientować się nieco w okolicy. Robimy dość częste przerwy w marszu, posilając się obficie dojrzewającymi tu jagodami.

W pewnej chwili spostrzegamy dwa jelenie, które przeci-  
niają nam drogę. Jeden ze strzelców wali do niego z odległości  
50 kroków i rani jelenia. Zwierzę słania się, pada, podrywa się  
wreszcie i przepada w gąszczu leśnym. Ze wściekłym ujada-  
niem gonia za nim psy. Powstaje zgiew i rwetes nie do opisa-  
nia. Towarzysze nasi strzelają jeszcze kilkakrotnie na ślepo  
w ślad za zwierzyną, ale bez rezultatu. Ranny jelen schronił się  
za niedostępnym zwałem potężnych kłód, za palisadą dzikich  
zwałisk olbrzymów leśnych, gdzieś w głębi matecznika. W po-  
łudnie przechodzimy na drugi brzeg rzeki, tutaj rozpalamy  
ognisko i spożywamy obiad. Prawym brzegiem posuwamy się  
dalej wzdłuż rzeki na północ i odnajdujemy naszą flagę zawie-  
szoną na drzewie, a nieco później miejsce naszego pierwszego  
noclegu w lesie po wylądowaniu. Pogoda piękna, jakże inna  
niż tydzień temu, kiedyśmy wyruszyli na poszukiwanie osiedli  
ludzkich. Słońce, zawieszone wysoko na niebie, praży nasze  
grzbiety. Idziemy teraz według kompasu w kierunku północno-  
zachodnim, oddalając się od rzeki. Ale nie jest łatwą sprawą  
dotrzeć do balonu. Podczas przedzierania się przez gąszcz leś-  
ny, gubimy nasz ślad z przed tygodnia i chociaż idziemy je-  
szcze kilka kilometrów w tym samym kierunku, balonu do  
wieczora nie odnajdujemy. Wkraczamy jedynie na polanę po-  
dobną do tej, przez którą przechodziliśmy w pierwszym dniu  
marszu, po wylądowaniu, ale czy to ta sama, nie możemy  
ustalić.

O zmroku brniemy jeszcze po kolana w błocie. Wresz-  
cie znajdujemy wynioślejsze miejsce, które nadaje się na noc-  
leg. Rozpalamy ognisko, przy którym suszymy mokre, oblepio-  
ne błotem spodnie i obuwie. Wodę na herbatę czerpiemy z dziu-  
ry wykopanej w bagnie. Zaczyna nam dokuczać ziąb. Nocuje-  
my oczywiście pod gołym niebem. Z podziwem przyglądamy



się jak szybko i sprawnie posuwają się przygotowania do noclegu. Przed naszymi oczyma rozwija się mały wycinek z filmu, obrazującego życie leśnych ludzi. Każda czynność z góry prze-myślana i po chwili już przygotowania do noclegu są ukończo-ne. Sprawniej to idzie naszym towarzyszom, niż nam, ludziom nie znającym zwyczajów puszczy. Chcąc zapewnić sobie ciepło na całą noc, towarzysze nasi zakładają „kastior“. W mgnieniu oka z nieprawdopodobną wprost szybkością ścinają dwa ol-brzymie drzewa, które układają jedno na drugim, robiąc w nich głębokie nacięcie z góry. W szczelinę między obydwoma pnia-mi nakładają wiórów i gałęzi, które zapalają. Ciekawe to ogni-sko płonie przez całą noc. Ogniska płoną także dokoła naszego legowiska po wszystkich stronach. Mimo to w nocy dopieka nam ...mróz, i, mimo że śpimy w ubraniach, przemarzamy do szpiku kości. Na wieczerzę spożywamy zamiast przyobiecane-go pieczystego — fasolę w sosie pomidorowym z odrobiną kon-serw mięsnych. Daniem tym sprawia nam niespodziankę ser-deczny druh Apuchtin, który raczy nas najprzedniejszymi resztkami swych własnych zapasów.

Wędrówka w towarzystwie ludzi miejscowych jest bardzo ciekawa i pouczająca. Na każdym kroku podziwiamy, jak zręcznie dają sobie radę z przeciwnościami, które w wielkiej obfitości ciska pod nogi bezdrożna puszcza. Porają się z nimi uzbrojeni jedynie w siekiery i noże. Kiedy drogę zagraadza sze-roka struga, bez namysłu dobierają się do najwyższych i naj-grubszych drzew, które wyrastają nad brzegiem. Kilkanaście silnych, celnych uderzeń siekierą powala olbrzyma leśnego i przewraca go przez wodę. W ten sposób stwarza się wygodny most, tak, że rzekę przechodzimy suchą nogą. Ogniska za-palają się pod zręcznymi rękami tubylców z niewiarygodną szybkością. Przy przygotowywaniu wieczerzy jedno cięcie no-ża i kilka zręcznych ruchów wystarcza, aby wypaproszyć ptac-two, które po chwili już piecze się na rożnie we własnym thu-szczu.

*Środa, dn. 9 września.*

Z radością witamy świt po mroźnej nocy i ruszamy na poszukiwanie balonu, który musi znajdować się gdzieś w pobliżu. Chodzimy we wszystkich kierunkach, przedzierając się przez bagna. Rozdzielamy się nawet na dwie partie, lecz na próżno. Balon przepadł bez śladu, jak gdyby go pochłonęła ziemia. Nasi przewodnicy zaczynają się niecierpliwić. Chcą zaprzestać dalszych poszukiwań i odłożyć je na później, zwłaszcza że kończą się już nasze zapasy żywności. Chcą wracać do wioski i rozpocząć poszukiwania po zaopatrzeniu się w nowy prowiant.

Jest dopiero godzina dziewiąta rano. Janusz i ja sprzeciwiamy się stanowczo tym zamiarom. Oświadczamy, że nie wrócimy z nimi do Nosowszyny, a pozostaniemy sami w puszczy. Namawiamy ich, żeby wysłać po żywność jednego tylko człowieka. Zależy nam na pośpiechu. Apuchtin również zaczyna się niepokoić, gdyż w czwartek wieczorem chce być koniecznie w Kałgaczysze, oddalonej stąd o 60 km pieszego marszu. Wreszcie przewodnicy nasi godzą się wytrwać jeszcze do wieczora. Rozdzielamy się znowu na dwie partie i szukamy dalej balonu. W razie pomyślnych wyników poszukiwań, mamy dać znać o tym drugiej partii — strzałem. Znowu brniemy przez błota w różnych kierunkach i przebywamy wiele kilometrów.

W mojej grupie wszystkich podtrzymuje towarzysz Moskalow.

— Nie damy się, „najdiom szar“ — powtarza uparcie. Musimy znaleźć balon.

Jak węszący, tropiący pies przedziera się przez gąszcz lasu, szuka śladów po ziemi. Wreszcie po długich chwilach emocji staje na polanie, rozgląda się po ziemi i zwraca się do mnie:

— Wasz ślad. — Widać w grząskim terenie wyciśnięte głębokie ślady stóp, w które napłynęła czarna, błotnista woda. Mam pewne wątpliwości czy to nasz ślad, ale po kilkuset metrach okazuje się, że towarzysz Moskalow jest na właściwym

tropie. Znajdujemy mianowicie etykietę z butelki od wina, którą wypróżniliśmy w pierwszych dniach naszego marszu. Moskalow rozentuzjasmowany, krzyczy:

— Siejczas budiet szar! Najdiom! Najdiom!“

Dajemy umówiony sygnał z naszych strzelb. Głośny huk zawiadamia drugą partię, że znaleźliśmy ślady balonu. Nie czekamy, aż przyłączą się do nas. Idziemy dalej w gwałtownej ulewie. Jesteśmy przemoczeni do ostatniej nitki. Śladu nie gubimy. Moskalow posiada wprawę w czytaniu tropów. Idziemy jeszcze przez półtorej godziny i wreszcie dostrzegamy olbrzymie drzewo, powalone przez burzę, które zapamiętaliśmy sobie w pierwszym dniu marszu, jako punkt orientacyjny. Teraz orientacja już ułatwiona. Deszcz przestaje padać i z poza chmur wyziera słońce. Informuję Moskalowa, że teraz szereg chorągiewek winien znaczyć dalszy nasz ślad. W pewnej chwili Moskalow, zasłaniając sobie oczy jedną ręką, drugą wskazuje w dal:

— Proporczyk! — krzyczy.

Istotnie o 300 kroków przed nami czerwieni się i bieli chorągiewka.

— „Jest flag!“ — woła głośno i biegnie do dalekiego drzewa.

Znaczona droga wiedzie nas wprost do zwisającego na konarach drzew balonu. Wchodzimy na polanę i z odległości jednego kilometra dostrzegamy powiewającą smutnie na wietrze białą - czerwoną flagę naszego balonu. O godzinie 13-tej jesteśmy na miejscu, gdzie gwałtowny wichur rzucił nas na ścianę lasu, druzgocąc balon. Wita nas smutny obraz. Siatka balonu, wpłątana w konary drzew, zwisa beznadziejnie, powłoka opada na ziemię. Wielodniowe deszcze nagromadziły w zagłębieniach powłoki całe jeziora wody. Zbieramy się przy rozdartym balonie, robimy kilka zdjęć fotograficznych i zjadamy śniadanie, zanim zabierzemy się do porządków. O przetransportowaniu powłoki balonowej obecnie nie może być nawet mowy. Transport 350 kg po przez puszcze i bagna przed nasta-





Z powrotem na miejscu lądowania balonu z ekspedycją do transportu powłoki.

niem mrozów jest nie do pomyślenia. Wymagałoby to wycięcia przez las drogi. Całymi kilometrami trzeba by przerzucać przez bagna pomosty ze zwalonych pni, zatrudniając liczne kadry robotników. Musimy poczekać do zimy. Wówczas dopiero nasi towarzysze, którzy przyrzekli zaopiekować się balonem, postarają się o przewiezienie powłoki do najbliższej stacji kolejowej i wysłanie jej do Polski.

Po śniadaniu — jest już godzina czternasta — zabieramy

się do ściągnięcia sieci z wysokich drzew i złożenia balonu. Znowu jesteśmy zmuszeni brodzić powyżej kostek w błocie. Z narażeniem życia towarzysze nasi wspinają się na wysokie drzewa i na wysokości kilkunastu metrów puszczają w ruch siekiery. Na ziemię spadają grube gałęzie, o które omotała się sieć. Zresztą tubylcom wspinarstwo na drzewa nie sprawia większych trudności. Są to dawni marynarze, którzy przeszli ciężką szkołę na żaglowcach i nauczyli się bujać po wysokich masztach. Nie mały był trud z wyciąganiem powłoki z sieci. W powłoce pełno wody, której nie sposób wylać. Trzeba także uporać się z olinowaniem, odczepić kosz od balonu i pozwijać liny. Musimy również przygotować miejsce, na którym przechowamy powłokę aż do nastania mrozów. Zwalamy kilkanaście drzew (w ogóle o drzewa nie martwimy się, ściągamy je na prawo i na lewo), układamy ścięte pnie na bagnistym terenie, a na tym rusztowaniu z powalonych drzew układamy powłokę balonową. Nad nią budujemy most z pali, na którym zawieszamy sieć. Zależy nam na tym, aby przeszkła i aby uchronić ją od przegnicia. Części powłoki służą jako namiot nad drogocennym, choć rozdartym balonem. Obok ustawiamy kosz, który również zakrywamy i ochramiamy przed deszczem. Klapę, kołnierz apendyksu i rozdzielacz do tlenu oddajemy naszym towarzyszom, z prośbą, aby je odpowiednio zakonserwowali i przechowali w Sielsowiecie, gdyż zaczynają już rdzewieć. Z butli wypuściliśmy tlen, a stalowe naczynia umieszczamy w koszu.

Jest już późny wieczór, kiedy kończymy pracę nad zabezpieczeniem powłoki naszego „L. O. P. P.“ Nie mamy słów uznania dla serdecznej uczynności naszych towarzyszy, którzy w pocie czoła, pod ulewnym deszczem pracowali niezmordowanie, dopomagając nam w budowie bodaj prowizorycznego dachu, dla zabezpieczenia resztek powłoki balonu.

Tak więc musieliśmy pozostawić balon w puszczy do czasu, kiedy mrozy skują błota i bagna w pancerz lodowy i umożliwią transport naszego statku powietrznego do stacji kolejowej.



Na miejscu lądowania.

wej. Zimą szata śnieżna pokrywa zdradliwe moczary do wysokości dwóch metrów. Z żalem żegnamy nasz „L. O. P. P.“, z bólem serca pozostawiając go w głębi puszczy i ruszamy w drogę powrotną.

Tego dnia przebywamy zaledwie trzy kilometry i już zapada noc. Czeka nas jeszcze jeden nocleg pod gołym niebem w ciepłych ramionach płonących dookoła ognisk.



*Czwartek, dn. 10 września.*

Zadanie ekspedycji spełnione. Idziemy jeszcze razem 17 kilometrów do naszej rzeczki Czus. Tutaj zatrzymujemy się na nasz ostatni wspólny posiłek, gdyż dalsze nasze drogi rozchodzą się. Przewodnicy nasi powracają do Nosowszyny, podczas gdy my z Apuchtinem i Stiepanem idziemy dalej na zachód. Nadchodzi wzruszająca chwila rozstania. Wspólny trud wędrówki przez wertepy puszczy zbliżył nas bardzo do siebie, polubiliśmy się serdecznie. Przy ognisku nasi przewodnicy wystawiają nam pokwitowania na odbiór powłoki balonowej i rozmaitych części naszego ekwipunku balonowego. Nie wiemy, w jaki sposób okazać im naszą wdzięczność. W miarę naszych sił i możliwości usiłujemy się odwdziżyć, ofiarując im nasze termosy i latarki elektryczne, które — jak to zauważyliśmy po drodze — budziły ich zachwyt. Chętnie rozstajemy się z tymi drobiazgami. Nasi leśni gospodarze nie pozostają też w tyle. Obdarzają nas pozostałymi zapasami żywnościowymi, oddają cały zapas machorki i... papieru gazetowego. Pozostawiają nam cztery, upolowane w ciągu dnia ptaki, abyśmy w dalszej drodze nie byli pozbawieni potraw mięsnych.

Rozstajemy się ze szczerym żalem. Z dala słyszymy jeszcze ich okrzyki:

— „Szczastliwawo puti... szczastliwawo“...

## ROZDZIAŁ IX.

### PIESZO—SAMOLOTEM I KONNO NAD MORZE BIAŁE.

Pozostajemy we czwórce: Apuchtin, Stiepan i my dwaj. Towarzysze nasi wracają do Nowosowszyny, skąd dzieli ich już tylko 13 km drogi na wschód, my zaś kierujemy się na zachód.

Znowu przedzieramy się przez puszcę. W ciągu długich godzin przemierzamy 17 km. Jest godzina dwudziesta, a my wciąż jeszcze idziemy. Ciemno już dookoła nas. Przy pomocy latarek elektrycznych odszukujemy ścieżkę, którą często gubimy, a która ma nas zaprowadzić do miejscowości „Karelskaja“.

Cała Karelskaja, to jedna „izbuszka“ nad rzeką Ileksą, zagubioną w puszczy. Prowadzi nas Stiepan, który dobrze zna drogę. Dochodzimy wreszcie do rzeki i teraz dopiero dowiadujemy się, że „izbuszka“ położona jest na drugim jej brzegu. Czeką nas przeprawa w bród. Stiepan zaprasza nas wspaniałomyślnym gestem do wody. Zaręcza, że sięgnie nam najwyżej do kolan. Rezygnujemy z pierwszeństwa.

— Stieпка, prowadź ty nas.

Stiepan przechodzi rzekę i z drugiej strony świecąc latarką, wskazuje nam kierunek. Przebywamy bród bez przeszkód, czując pod stopami kamienne porohy, które przecinają w tym miejscu rzekę.

Na drugim brzegu rzeki nowa emocja. Apuchtin nabija fuzję i z zachowaniem wszystkich przepisów ostrożności wchodzi do wnętrza „izbuszki“, badając każdy jej kąt. Po chwili zjawia się znowu na dworze i woła:

— „Wsio w poriadkie“.

Ustawiczna obawa przed bandytami, którzy uciekli z więzienia, nie daje nam i tutaj spokoju i na każdym kroku zaleca ostrożność. Apuchtin, zbadawszy wnętrze „izbuszki“, patetycznym gestem zaprasza nas do wnętrza. Stiepan szybko krząta się dookoła ogniska. Walimy na palenisko dwa metry kwadratowe drzewa, które płonie przez całą noc. Mimo to, w ciągu nocy, mróz daje się nam porządnie we znaki. Na wieczерzę Apuchtin znowu gotuje nam niespodziankę, wyciągając z plecaka dwie konserwy mięsne, które niósł przez całą drogę, nie nikomu o nich nie mówiąc, zachowując je specjalnie dla nas.

Po wieczery kpt. Janusz dobiera się do swego radioodbiornika. Zapasowe baterie zabraliśmy z kosza balonu i są widoki, że aparat będzie działał. Istotnie, po chwili radosny uśmiech opromienia twarz Antka, i z oczu jego wyczytuje, że nawiązał łączność ze światem.

— Warszawa! — woła i prosi o spokój.

Biorę drugą słuchawkę i po chwili w głuchej puszczy nad morzem Białym uczestniczymy w powitaniu generała Śmigłego - Rydza, powracającego z Paryża. O nas w słuchawkach głucho. Tego wieczora nie słyszymy żadnych wiadomości o sobie.

Rankiem budzi nas silny przymrozek. Całą okolicę pokrył biały szron. Po śniadaniu nowa przyjemność. Trzeba znowu wracać na lewy brzeg, którym prowadzi dostępna tropinka. Przed tym jednakże posilamy się obficie, aby nabrać sił do całodziennego marszu. Stiepan zerwał się jeszcze podczas naszego snu, śpiąc trzy godziny zaledwie i zakrzętnął się koło śniadania. Gdyśmy wstawali, dymiała już smaczna zupa z ubitego ptactwa.



Po śniadaniu — brrrr — wchodzimy do lodowatej wody, aby przedostać się na drugi brzeg. Szybko wciągamy obuwie i ruszamy, aby rozgrzać się i osuszyć mokre spodnie. Mam trochę kłopotu z nogą, którą złamałem ubiegłego roku. Już poprzedniego dnia dokuczała mi porządnie, tak, że utykałem, co oczywiście hamowało szybkość marszu. Najgorzej było przy pokonywaniu przeszkód i przechodzeniu przez zwalone pnie. Wtedy ból tak mi dokuczał, że nie mogłem unieść nogi i musiałem ją podciągać rękoma.

*Piątek, dn. 11 września.*

Celem naszego dzisiejszego marszu jest Kałgaczicha, od której dzieli nas 30 km. Od godziny ósmej do dwunastej w południe idziemy wzdłuż rzeki, po czym oddałyśmy się od niej i skręcamy w las. Poprzez lasy docieramy aż do samej wsi.

Apuchtin w drodze nie próżnuje. Często zbacza ze ścieżki, klęka na ziemi, bada ułamki skalne, rozbija różne kamienie młotkiem i zabiera próbki minerałów. Jesteśmy już z nim w zażyłej przyjaźni, mówimy sobie po imieniu. Z urzędowego: „towarzyszu Mikołaju Iwanowiczu“, przeszliśmy na „Kola“, a on nam mówi „Antek i Stanisław“.

Droga ciągnie się w nieskończoność i jest nad wyraz monotonna. Idziemy jeden za drugim, z oczyma wlepionymi przed siebie na ścieżkę. Aby skrócić sobie czas, liczymy własne kroki.

Pod wieczór, około godziny szesnastej, wychodzimy z lasów i wspinamy się na dość wysokie wzgórze, skąd roztacza się wspaniały widok na całą okolicę. W odległości trzech kilometrów stąd widać już jak na dłoni Kałgaczichę, położoną nad szerokim jeziorem.

Stoimy przez dłuższą chwilę i napawamy się zachwycającym widokiem. W ciszy przedwieczornej rozlega się smętny klangor dzikich gęsi, przelatujących nad naszymi głowami. Niebo bez jednej chmurki, czyste jak kryształ, nasycone jest

głębokim fioletem. Z układającej się do snu wioski ulatują pionowo w górę dymy, pozdrawiając nas z daleka i dając nam znać, że wkrótce znowu znajdziemy się wśród nowych ludzi. Na dalekim widnokreśgu siną smugą znaczą się bory, ciągnące się wokół w promieniu dwudziestu kilometrów, ujmując spokojny krajobraz w ciemne ramy.

Z naszego zamyślenia wyrывa nas głośnie: „hallo!“ To z daleka wita nas towarzysz Apuchtina, powracający ze swoim pomocnikiem tego samego dnia, z dalekiej wyprawy geologicznej do bazy operacyjnej w Kałgaczysze. Geolodzy nie widzieli się ze sobą od miesiąca. Z ciekawością obrzucamy spojrzeniem ciężki plecak pomocnika geologa. Z ramion zwisa mu włochate cielsko jakiegoś zwierza.

Nie czekamy długo na wyjaśnienia. Strzelec odwraca się i wskazując na plecy, z dumą obwieszcza:

— „Ot i niedzwiedzia my ubili“.

Teraz istotnie rozpoznajemy kształt małego niedźwiadka, przytroczonego do plecaka. Podziwiamy jego czarną gęstą sierść i nie mamy nic pilniejszego do pomyślenia, jak to, że będzie z niego smaczna pieczeń.

— „Charaszo! — wołam. — Zawtra budiem kuszat niedzwiedzia“.

— Da, da — potakują ze śmiechem geolodzy. I cieszymy się wspólnie na niedźwiedzi smakołyk, o który znowu nie tak łatwo.

Ciemno jest, gdy wchodzimy do Kałgaczichy. Jesteśmy oczywiście gośćmi geologów, którzy rozporządzają tutaj własną chatą o dwu obszernych izbach i kuchni. Gospodarstwo prowadzą dwaj pomocnicy, którzy również tutaj mieszkają. Jesteśmy setnie zmęczeni i po kolacji rozciągamy się z rozkoszą na posłaniu ze wspaniałej skóry łosia. Ale Antek ociąga się jeszcze i krząta koło radioodbiornika. Może znowu uda mu się schwytać falę warszawską.

Ja już zasypiam i zapominam o całym świecie. Nagle budzi mnie gwałtowne szarpnięcie. Janusz pochyła się nade mną

i ze łzami w oczach, ściskając mnie, opowiada gorączkowo, że w kraju wiedzą już o naszym losie. Panuje powszechna radość, że żyjemy. Do Aeroklubu napływają gratulacje. Całe społeczeństwo zaniepokojone naszym losem, z radością powitało wiadomość o naszym odnalezieniu. Nawet dodatki nadzwyczajne doniosły całemu krajowi radosną nowinę.

Słowa Antka spłoszyły sen z moich oczu. Wiadomości warszawskie chłonimy całą duszą. Są nam one radosnym promieniem, rozświetlającym mroki przygnębienia, jakie w nas trwało przez cały czas od chwili niefortunnego zakończenia lotu. Do tej pory trapiły nas nieustannie wyrzuty, że nie spełniliśmy naszego zadania. O innych balonach nie mamy żadnych wiadomości. Nie znamy wyniku zawodów. Do tej pory nie otrzymaliśmy żadnych gazet, z których moglibyśmy się dowiedzieć o losie naszych współzawodników. Do Kołgaczyskiej gazety sowieckiej przychodzą z dziesięciodniowym opóźnieniem. Radia także nie ma tutaj nigdzie.

Kiedy już umilkła fala warszawska, zasypiamy z błogim uczuciem, że udało się nam nawiązać kontakt z Polską, a głos speakera z dalekiej Warszawy długo jeszcze nam brzmiał w uszach jak najrozkoszniejsza muzyka.

Czujemy się u naszych gospodarzy jak u siebie w domu. Drugi geolog, którego poznaliśmy zaledwie przed kilkoma godzinami, Mikołaj Wiania Eminowicz Albow, okazuje się człowiekiem równie życzliwym i sympatycznym jak jego towarzysz Apuchtin. W Kałgaczysze postanawiamy pozostać dwa dni, aby powrócić do sił po trudach życia w lasach.

*Sobota i niedziela, 12 i 13 września.*

Budzi nas pogodny ranek i świadomość, że tego dnia nie będziemy przedzierali się przez bezdrożną puszcę, że możemy wreszcie trochę odpocząć. Najwięcej cieszy nas myśl, że będziemy się mogli oporządzić i wykapać. Stan nasz i naszych ubrań jest pożałowania godny. Koszul nie zdejmowaliśmy od



chwili startu, nie rozbieraliśmy się w ogóle od trzynastu dni. Bielizna brudna, przepocona i podarta. Buciki okryte grubą warstwą zeschniętego błota, sznurowadła u bucików przegniłe. Pierwszą naszą myślą jest jednak troska o nasze ciała. Łakniemy przede wszystkim kąpieli.

Niedługo na nią czekamy. Zaraz z rana pakują nas do łaźni parowej, tak zwanej „bani“. W gorącej parze wypacamy dwutygodniowy brud. Ciała nasze chłuszczą i masują delikatne różgi, które parzą jak rozżarzone pręciki stalowe. Największy kłopot mamy z nogami, które są tak brudne, że nie podobna ich domyć. Bielizna nasza wędruje do prania, a tymczasem korzystamy z grzeczności geologów, którzy pożyczają nam swej własnej. Nie chcemy nadużywać ich grzeczności, ale Apuchtin przemocą wciska nam zapasowe sztuki bielizny. Golimy się tutaj również po raz pierwszy. Żyłotka nie może się przedrzeć przez gąszcz mojej brody, muszę jej dopomóc nożyczkami. Janusz zrobił mi kawał z goleniem już przed tym, w Nosowszynie. Moje rady, żeby zapuścił sobie wąsy, jakoś nie trafiły mu do przekonania i wykorzystał krótką chwilę, na którą go zostawiłem samego, aby twarz doprowadzić do porządku. Kiedy go potem znowu ujrzałem, powitał mnie zupełnie inny człowiek.

— To ty smoku, już się ogoliłeś? — wpadłem na niego.

— A co myślałeś? — odparł z dumnym uśmieszkiem; mnie jednak poradził, abym się nadal nie golił.

Dobrze nam w Kałgaczysze. Mija naprężenie nerwów i uspakajamy się tak dalece, że mamy nawet cierpliwość łowić ryby w rzeczce, tym razem już wyłącznie dla przyjemności.

W naszej kwaterze znajdujemy starą fisharmonię. Po kolei próbujemy na niej naszych talentów. Spod stwardniałych i zgrubiałych palców, a raczej tylko jednego palca, wypływa melodia „Jeszcze Polska nie zginęła...“, która tutaj na tym pustkowiu rozbrzmiewa prawdopodobnie po raz pierwszy. Antek cierpliwie uczy Apuchtina melodii, którą geolog usły-

szał kiedyś przez radio z Warszawy i która ogromnie mu się podobała. Uczy się melodii i polskich słów piosenki: „Śpij moje serce cichutko“. Wiele przy tym śmiechu i bez troskiej wesołości. Nasz sympatyczny Kola polską piosenką chce sprawić niespodziankę damie swego serca Polce, mieszkającej w Leningradzie. Wogóle zachwycą się urodą i wdziękiem Polek, które spotykał w swym życiu. Od geologów uczymy się trochę po rosyjsku, a oni usiłują zapamiętać niektóre zwroty polskie.

Żołądki nasze mają w Kałgaczysze używanie. Jadamy wprawdzie tylko dwa razy dziennie, ale za to wsuwamy tak obfite porcje, że istotnie nie dzieje się nam krzywda. Na śniadanie zjawia się przed nami wielka misa kartofli przy-smażanych, oblaných „toplonym“ masłem, razowy chleb i do tego sześć litrów mleka, które spijamy tu w nieprawdopodobnych ilościach. Mleko cudowne, treściwe i bardzo smaczne, widocznie dlatego tak pożywne, że krowy spasane są tu soczystymi trawami, nie zaprawianymi sztucznymi nawozami, a także dlatego, że nie nauczyli się tu jeszcze mleka... chrzcić. Litr tego nektaru kosztuje 50 kopiejek.

Z niecierpliwością wyczekujemy pieczeni z niedźwiadka. Spożywamy ją wieczorem. Pół zwierzaka wystarcza w sam raz na naszych sześć... apetytów i góra mięsiwa znika ze stołu. Pieczeń, choć przyrządzona prymitywnie, smakuje nam po królewsku. Ucztę zakrapiamy dwoma kieliszkami spirytusu (z zapasów geologów), służącego do instrumentów geologicznych.

Wieczorem otrzymujemy nareszcie pierwsze gazety sowieckie. Apuchtin czyta nam na głos, że Demuyter wylądował w rejonie Szenkurska, a więc dalej od nas. Stwierdzamy ze smutkiem, że przegraliśmy. Dowiadujemy się także o miejscach lądowania balonów „Zürich“ i „Deutschland“. Obliczamy, że różnica między przebytymi przez nich odległościami a naszą jest niewielka. Niepokoi nas niepewność co do miejsca, jakie uzyskaliśmy w zawodach. Brak wiadomości o polskich balonach. Pocieszamy się, że może udało im się zale-

cieć dalej od nas i dalej od balonu belgijskiego. Na podstawie zaczerpniętych z gazet sowieckich informacji, plasujemy się teraz na szóstym miejscu. Wolimy w naszych rachubach być raczej zbyt ostrożni, niż się później rozczarowywać.

Wieczorem tego dnia otrzymujemy telegram. Skąd w tym pustkowiu telegram do nas? Jak zdołano nas wogóle odszukać? Otwieramy go niecierpliwie. Od redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego“ z Krakowa. Redakcja pisma krakowskiego proponuje nabycie naszych pamiątek i zastrzega sobie pierwszeństwo. Posłaniec niósł depezę 70 kilometrów, aby nam ją doręczyć. Posłańca zatrzymujemy, aby w dalszej drodze służył nam za przewodnika do Małoszujki, dokąd wyruszamy w poniedziałek rano.

Geolodzy opowiadają nam dużo o swej pracy i życiu w bezludnej puszczy. Instytut geologiczny w Leningradzie wysłał w te północne rejony ekspedycję, składającą się z czterech geologów. Rejon oneski jest w ogóle po raz pierwszy przedmiotem takich systematycznych badań. Gospodarze nasi przemierzili już olbrzymi szmat kraju. Od czterech miesięcy chodzą w różnych kierunkach, badając bogactwa naturalne tych okolic. Ich samotne wędrówki trwają nieraz cały miesiąc i prowadzą w głąb puszczy, w których nie powstała noga ludzka. Wolny czas spędzają w bazie operacyjnej, opracowując sprawozdania do Instytutu. W kwaterze ich znajdujemy całe góry próbek mineralnych. Między innymi dowiadujemy się, że w odległości 40 km od Kałgaczychy natrafili na ślad złota w skałach, którego produkcję obliczają na 60 gramów z jednej tony minerału. Apuchtin zwierza się nam, że czekają go długie marsze. W ciągu miesiąca musi przemierzyć jeszcze 12400 kilometrów, zanim dotrze do Onegi nad morzem Białym, skąd około 15 października powróci do Leningradu. Podziwiamy także ciekawe zdjęcia z puszczy oraz artystyczne wprost rysunki, wykonane piórkiem i tuszem. Apuchtin narzeka na brak cienkich angielskich piórek do kreślenia. Przyrzekamy dostarczyć mu je z Polski. Apuchtin



natychmiast odwzajemnia się obietnicą przysłania kolekcji rysunków, obrazujących malowniczy kraj w okolicach morza Białego. Niepotrzebne już termosy — pozostały nam jeszcze dwa — pozostawiamy Apuchtinowi na pamiątkę.

W rozmowie z geologami poruszamy także tematy religijne. Kiedy pokazujemy im nasze ryngrafy z Matką Boską Ostrobramską, z niedowierzaniem przyjmują do wiadomości fakt, że Polacy są narodem wierzącym. Na temat religii rozwija się gorąca dyskusja. Janusz przytacza przekonujące argumenty, uzasadniające jego pogląd na te sprawy, tak, że w końcu Apuchtin milknie i temat ten porzuca. Dyskusja na tematy, co do których dzielą nas diametralnie różne poglądy, nie psuje jednak naszej harmonii.

W Kałgaczysze podziw Janusza budzi wspaniałe zaopatrzona stacja opatrunkowa, gdzie zakładają mu opatrunek na zraniony w chwili lądowania łokieć. Kiedy wraca ze stacji opatrunkowej, dokąd go skierowali geolodzy, nie ma słów uznania dla wspaniałego wyposażenia i czystości, w jakiej utrzymane są trzy duże jasne izby, zaopatrzone w dużą ilość leków i opatrunków. Był po prostu zaskoczony tym, że w tak zapadłej wiosce znajduje się tak wzorowy punkt sanitarny.

W Kałgaczysze dużo wesołości mimo woli dostarcza nam Apuchtin. Kiedy po pierwszej nocy w chacie geologów przecieramy rano oczy, z niedowierzaniem obserwujemy wyczyny towarzysza Apuchtina. Gdy tylko zerwał się z posłania, stanął natychmiast przy oknie i zaczął uprawiać gimnastykę poranną, z niezwykłą pedanterią i sumiennością, o jaką nikt go w puszczy nie posądzał. Rytmiczne jego ruchy, głębokie skupienie malujące się na twarzy, długie białe kalessy, w których wykonywał ćwiczenie — wszystko to składało się na obrazek wysoce pocieszny. Podziwialiśmy, że po trudach obozowego życia w lasach ma jeszcze ochotę na tego rodzaju figle, my bowiem mieliśmy aż nadto mimowolnej gimnastyki w puszczy.

Wobec zbliżającej się chwili naszego rozstania, Apuchtin

coraz częściej wspomina, że będzie mu tęskno za nami. Zapewnia nas, że zżył się z nami serdecznie i że nigdy nie zapomni naszego spotkania. Przysięgamy pisywać często do siebie i podtrzymywać znajomość i przyjaźń zawartą w tak niezwykłych okolicznościach.

Chociaż żal nam rozstawać się z geologami, myślami jednak coraz częściej wybiegamy do kraju, w którym pragnęlibyśmy już znaleźć się jak najprędzej.

W niedzielę przybywają do Kałgaczychy przedstawiciele władz sowieckich, którzy mają nam towarzyszyć w dalszej drodze i opiekować się nami. Są to: lieutenant Krysanow Andrej Grafowicz z Korpusu Ochrony Pogranicza i przedstawiciel Rejispołkoma z Onegi, Aleksander Aleksandrowicz Lewiczew.

W niedzielę wieczorem zaopatrujemy się w miejscowej „ławce“ w zapasy żywności na drogę, a w poniedziałek 14 września około południa wyruszamy przez Peringoziero do Małoszujki. Przed wymarszem towarzyszy Lewiczew radzi nam wypożyczyć w miejscowej spółdzielni długie buty, tak zwane: „sapagi“. Kupujemy również onuce za 14 rubli 95 kopiejek. Lewiczew słusznie napomyka, że wkroczymy znowu w teren, z którym w naszych sfatygowanych półbucikach nie dalibyśmy już sobie rady.

Nadchodzi chwila rozstania, którą staramy się przeciągnąć jak najdłużej. Z Albowem, który znowu rusza w teren, żegnamy się w wiosce, a Apuchtin towarzyszy nam aż do wzgórz, które ciągną się za wsią. Tutaj całujemy się z dubeltówki i ściskamy sobie gorąco dłonie. Widzimy, jak bardzo puszcza zbliża ludzi do siebie. Szczery żal ściska nam serce, kiedy rozstajemy się z człowiekiem, który okazał nam tyle życzliwości i bezinteresownej pomocy i teraz jeszcze w ostatniej chwili wręcza nam na drogę kilka puszek konserw ze swoich własnych zapasów.

Idziemy gromadą w siedem osób. Miejscowy Kołchoz wyznaczył nam do pomocy i do niesienia tłumoków jedną kobietę

tę i jednego strzelca z fuzją. Bagaże nasze pomaga dźwigać posłaniec z poczty w Małoszujce.

Znowu zagłębiany się w puszcę i kroczymy gęsiego po jedynej w promieniu wielu kilometrów tropince, wiodącej do Peringoziara.

Kiedy już znajdujemy się w pobliżu rzeki Małoszujki, w ciszę puszczy wdziera się nagle huk motoru. Po chwili pojawia się nad nami samolot, na wysokości 50 metrów nad drzewami. Lotnik zauważa nas, gdyż zatacza szeroki łuk i zrzuca meldunek, który spada tuż koło nas. Zapytuje się, czy mamy co jeść i czy potrzebujemy pomocy. Dajemy mu znaki, że pomoc zbyt duża i, wskazując na plecaki naszych towarzyszy, dajemy do zrozumienia, że żywności mamy w bród. Kijami wskazujemy mu kierunek, w którym idziemy. Ruszamy natychmiast dalej w drogę, aby uniknąć nieporozumienia w naszej sygnalizacji z lotnikiem i aby nie nakłaniać go do zbyt niskiego lotu nad drzewami, o któreby mógł zaczepić, narażając się na wypadek.

Tego popołudnia przebywamy 23 kilometry i obieramy nocleg w samotnej izbuszce, położonej na wzgórzu, zwanym „Wietrianaja Gora“. Zastajemy w naszej chatynce nawet samowar, pozostawiony dla wygody wędrowców. Tutaj także po raz pierwszy od dwóch tygodni pijemy prawdziwą herbatę z zapasów Lewiczewa. Noc spędzamy na pryczy dość wygodnie i ciepło. Kłopot sprawiają nam jedynie nogi, obtarte do krwi wskutek niedopasowanych butów i niezręcznego założenia onuczy.

Nazajutrz rano bierze nas pod swoją opiekę Lewiczew i wskazuje, jak należy prawidłowo zawinać onuce, aby uniknąć bolesnego obtarcia nóg.

*Wtorek, dn. 15 września.*

Po śniadaniu idziemy znowu dalej na północ. „Wietrzną chatę“ opuszczamy o godzinie ósmej rano. Przed nami 21 km



drogi pieszej do osady przed Peringoziro. Stamtąd już tylko 7 kilometrów do naszego Peringoziro i dalej 20 km do Małoszujki, które przebędziemy konno. Na dwie godziny przed naszym wymarszem z „Wietrznej chaty“ wyruszył samotnie liejtienant Krysanow, aby postarać się dla nas o wierzchowce.

W drodze od „Wietrznej chaty“ do Peringoziro, około godziny 6-tej rano zjawia się nad puszcą drugi samolot, który również nas spostrzega. Piloci zauważyli, że idziemy dalej, to też odlecieli na północ. Później, już w Małoszujce, piloci sowieccy opowiadają nam, że odnalezienie naszej gromady ułatwiła im czerwona spódnica towarzyszącej nam dziewczyny.

Na odcinku do Peringoziro kilkakrotnie przechodzimy przez grząskie bagna i szeroko rozlane strugi. Długie nasze buty doskonale nam służą.

W osadzie przed Peringoziro zatrzymujemy się na chwilę i z radością witamy konie, które czekają na nas.

W licznej gromadzie mężczyzn, którzy z ciekawością się nam przyglądają, rzuca się w oczy wysoka, szczupła postać mężczyzny, o rudej brodzie i głęboko osadzonych oczach. Kiedy już siedzimy na koniach, odzywa się po niemiecku:

— Sprechen Sie Deutsch?

Odpowiadam mu, że tak i pytam, skąd się znalazł w tych stronach. Opowiada nam w kilku słowach, że jest Niemcem, pochodzi z południowej Rosji, i został wysiedlony na północ. Myślimy sobie w duchu, że to widocznie zatwardziały germański „kułak“. Zdążył nam jeszcze opowiedzieć, że zna Berlin, Wrocław i Poznań. Na dalszą rozmowę nie pozwala nam jednak Lewiczew, który szybko rusza z miejsca, nagląc do pośpiechu.

Siedem kilometrów, jakie nas dzieli od Peringoziro, przebywamy konno w ciągu półtorej godziny. Droga jest bardzo ciężka i wiedzie po długiej drewnianej grobli, ułożonej przez bagna i błota. W grobli pełno dziur. Konie idą bardzo ostrożnie po śliskich okrąglakach, między którymi czyhają

liczne pułapki. Często schodzimy z koni, nie chcąc ich narażać na połamanie nóg.

W Peringožio czeka nas nowa niespodzianka w postaci doskonałego obiadu u prezesa miejscowego Sielsowietu. Po raz pierwszy po długim czasie jemy znowu z talerzy i na czystym obrusie. Potrawy obfite, bardzo smaczne i bardzo europejskie. Raczymy się zupą, gulaszem mięsnym, makaronem z masłem, a na deser podają nam kisiel owocowy i prawdziwy czaj z ciastkami. Obiad ten, jaki nie oczekiwaliśmy pod tym stopniem szerokości, to niewątpliwie zasługa Krysanowa, który wyprzedził nas o dwie godziny i zdążył wszystko tak zrećnie zorganizować. Dziękujemy serdecznie naszemu gospodarzowi Szewcowowi i aby odwdzińczyć się w drobnej chociaż mierze, kpt. Janusz wręcza jego małej córeczce Nineczce ostatnią lampkę elektryczną „Centra - Mikro“, które wszędzie tutaj cieszą się niebywałym powodzeniem.

W mieszkaniu prezesa Sielsowietu odkryłem bardzo rzadki w tych stronach, a u nas bardzo znany owoc — dojrzewające na piecu pomidory.

Po obiedzie koło godz. 15-tej znowu siadamy na konie i ostatnie dwadzieścia kilometrów do Małoszujki przebywamy konno. Jest to duża już wieś, z urzędem pocztowym i telegraficznym i dwiema cerkwiami. Położona jest nad rzeką tej samej nazwy, wpadającą do morza Białego. Stąd już tylko pięć kilometrów dzieli nas od morza.

Ostatnie dwadzieścia kilometrów drogi, które przebyliśmy przeważnie kłusem, po dość dobrej jak na te strony drodze, podobnej do dróg poleskich, dały się nam dobrze we znaki. Trudno nam było później ...siedzieć.

Do wioski dotarliśmy o godzinie 18-tej minut 30, kiedy już wokół było zupełnie ciemno. Byłem tak zmęczony, że nie mogłem o własnych siłach zejść z konia. Musieli mnie ściągać z końskiego grzbietu. Drogę z Kałgaczychy do Małoszujki zapamiętał także niewątpliwie Janusz, który często zsiadał z ko-

nia i znikał w cieniu lasu prawdopodobnie wskutek nadmier-  
nych ilości mleka, które w Kałgaczysze spijał litrami.

W Małoszużce skierowano nas od razu do kwatery lotni-  
ków, którzy poszukiwali nas w puszczy, a teraz mieli odwiedzić  
stąd do Archangielska. Z punktu nawiązała się między nami  
serdeczna nić sympatii. Lotnicy przyjęli nas ze szczerą życzli-  
wością i dopytywali się szczegółowo o nasze przygody. Do Ma-  
łoszużki władze sowieckie skierowały dwa samoloty trzymiej-  
scowe samodzielnej eskadry „grażdkańskiej (obywatelskiej)  
floty“ w Archangielsku. Płatowce wylądowały na błotnistej  
łączce w odległości trzech kilometrów od wsi. Był to w ogóle  
pierwszy wypadek, żeby tutaj w zagubionej wśród puszczy łącz-  
ce lądowały samoloty. Zaintrygowały nas polskie nazwiska  
pilotów: jednego Opieszański i mechanik Zdziebłowski. Drugi  
pilot nazywał się Gustow. Dowiedzieliśmy się, że obaj piloci  
o polskich nazwiskach pochodzą z Polski, a nawet z samej  
Warszawy. Obaj rozumieli jeszcze dość dobrze po polsku, mi-  
mo że od dzieciństwa wychowywali się w Rosji.

Zaledwie rozgościliśmy się w naszej kwaterze, lotnicy so-  
wieccy przysłali nam moc smakołyków, niezmiernie rzadkich  
w tych okolicach, jak czekolada, herbatniki, papierosy  
(w prawdziwych bibułkach) i kilka butelek wina, oraz kon-  
serwy mięsne. Prezes Sielsowietu zaopatrzył nas w biały chleb,  
doskonałe świeże masło i nieodzowny samowar z prawdziwą  
herbatą. Wkrótce potem zjawili się z wizytą sami lotnicy i spo-  
żywając dary Boże, w serdecznym nastroju gawędziliśmy do  
późnej nocy.

Pierwsze pytania nasze dotyczyły oczywiście losu pol-  
skich balonów. Niestety, wciąż jeszcze brak było o nich jakich-  
kolwiek wiadomości. Czuliśmy się całą gębą gospodarzami,  
mimo że byliśmy właściwie gośćmi i wieczór ten spędziliśmy  
tak dobrze i mile, że na długo pozostanie nam w pamięci. Do-  
bry nastrój zakłócała jedynie myśl, która wciąż nas nurtowała  
i niepokoiła, myśl, że szanse nasze na dobre miejsce w zawo-  
dach są bardzo nikłe.



Po raz pierwszy znowu spaliśmy w łóżku, zwanym tu „krawat“, pod grubą i puszystą pierzyną. Mimo że spaliśmy razem z Januszem na jednym łóżku, mimo że było ono dla nas nieco przykrótkie i niewygodne, było to jednak lepsze legowisko niż na gołej ziemi.

*Środa, dn. 16 września.*

Nazajutrz rano zostawiamy część żywności, teraz już zbędnej i wypożyczone w Kałgaczysze „sapagi“, które przyrzekł oddać w „ławce“ towarzysz Lewiczew. Dalszą drogę odbywamy już we własnych półbucikach, a ja po raz pierwszy nakładam pończochy damskie, które udało mi się kupić za dwa ruble 95 kopiejek.

Po śniadaniu jedziemy konno na lotnisko, to znaczy, na błotnistą łączkę za wioską, na której osiadły dwa stalowe ptaki i gdzie przenocowały w towarzystwie olbrzymich żurawi. O godzinie dziesiątej oba płatowce startują równocześnie do lotu do Onegi nad morzem Białym. W jednym samolocie, pilotowanym przez Gustowowa, lecą kpt. Janusz i mechanik Zdziebłowski, w drugim pilotowanym przez Opieszańskiego, lieutenant Krysanow i ja. Lewiczew pozostał w Małoszujce. Pożegnaliśmy się z nim serdecznie na zaimprovizowanym lotnisku, dziękując mu szczerze za opiekę.

W kilka chwil po starcie znajdujemy się już nad morzem Białym i lecimy wzdłuż wybrzeża do Onegi. Odległość 46 kilometrów przebywamy w przeciągu 25 minut. W Onedze lądujemy, aby uzupełnić zapas benzyny.

Na lotnisku, gdzie zatrzymaliśmy się około godziny, powitali nas serdecznie przedstawiciele miejscowych władz regionu oneskiego. W ostatniej chwili, kiedy znowu zajęliśmy miejsca w samolotach, znoszą nam jeszcze ciepłe kubraczki, którymi okrywamy nasze nogi. Wzruszeni tą pamięcią i troską o nasze osoby, startujemy o godzinie 11-tej min. 25 do Archangielska.



Przylot na lotnisko w Archangielsku.

Kierujemy się wprost na wschód i przecinamy na przełaj półwysep archangielski, po czym skręcając nieco na południe, lecimy znowu wzdłuż wybrzeża morza Białego, przebywając 146 km w ciągu jednej godziny i 40 minut.

W duszy myślimy sobie, ileby to dni trzeba było zużyć na przebycie tej przestrzeni, gdyby nie skrzydlate maszyny i żywczliwość władz sowieckich.

Podczas lotu, lotnicy nasi wykazują wspaniałą klasę pilotażu. Lecą spokojnie nieraz brawurowo, tuż obok siebie, skrzydło w skrzydło. Warunki atmosferyczne podczas lotu są bardzo niekorzystne. Gęste chmury kłębią się na wysokości 100 do 200 metrów. Po drodze zlewa nas kilkakrotnie deszcz, a sam lot na tej przestrzeni jest bardzo ryzykowny, gdyż lada defekt motoru grozi katastrofą. Na całej trasie nie ma nigdzie terenu odpowiedniego do lądowania. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, ciągną się pod nami bagna, lasy, jeziora, a dalej aż po widnokrąg, morze. Lecimy nad okolicą zupełnie bezludną. Nigdzie nie napotykamy śladów życia ludzkiego, ani żadnych osiedli ludzkich, które zaczynają się dopiero pojawiać w pobliżu Archangielska. Z tego też powodu samoloty, zapuszczające się w te strony i dokonywujące przelotów nad bezludnymi puszciami, wyposażone są przebogato we wszystkie sprzęty i narzędzia oraz duże zapasy żywności, aby w razie przymusowego lądowania ułatwić lotnikom drogę powrotną z głębi puszczy i dłuższy w niej pobyt.



## X.

### Z ARCHANGIELSKA DO MOSKWY.

Na lotnisko w Archangielsku, położone nad samą rzeką Dźwiną, samoloty nasze przybywają o godzinie 13-tej i 5 minut. Przed lądowaniem okrążamy miasto, rozbudowane na sporej przestrzeni i podzielone na kilka dużych dzielnic. Z góry widać dymiące kominy fabryk. Uderza nas szczególnie wielka ilość drzewa, nagromadzonego całymi stosami w rozlicznych składnicach firm eksportowych. Ogromnie rozwinięty przemysł drzewny zaobserwowaliśmy już podczas przelotu nad Onegą, gdzie na przestrzeni kilku kilometrów wzdłuż rzeki ciągnęła się niezliczona ilość tartaków, obok których piętrzyły się ogromne stosy desek.

Wita nas przy lądowaniu zastępca dowódcy oddziału lotniczego, Aloszyn, człowiek bardzo miły i inteligentny, który otacza nas swoją opieką aż do chwili wyjazdu z Archangielska. W kasynie na lotnisku odbywa się przyjęcie i ogarnia nas wir różnych czynności, które będą nam towarzyszyły aż do kraju. Udzielamy pierwszych wywiadów prasowych, rozdajemy autografy, musimy pozować amatorom fotografom.

Pod wieczór gospodarze nasi przewożą nas motorówką do miasta i lokują w hotelu dla turystów.

Samo miasto, liczące około 200.000 mieszkańców, nie wygląda zbyt zachęcająco. Jest dość posępne i szare. Budynki murowane, gdzieśniedzie nawet wysokie i nowoczesne. Ruch,

jak na miasto portowe, słaby. W porcie zaledwie kilkanaście statków. Tramwaje brudne i odrapane. Funkcje motorniczych i konduktorów spełniają... kobiety. Przypomina nam się Poznań z czasów wojny.

W Archangielsku jesteśmy gośćmi naszych nowych przyjaciół lotników. Nigdzie nie płacimy ani grosza, nawet bilety do Moskwy opłacają nam władze sowieckie.

W hotelu, w którym odpoczywamy, spotykamy kelnerkę Polkę, z ukarminowanymi ustami i wylakierowanymi na purpurowo paznokciami. Opowiada nam, że jako dziecko opuściła Warszawę i języka polskiego już prawie nie pamięta. Wieczorem proszą nas do telefonu. W słuchawce rozlega się męski głos, mówiący najczystszą polszczyzną. Ktoś chciałby zobaczyć się z nami w chwili odjazdu do Moskwy. Nie wiemy czy to podstęp, czy też rzeczywiście znalazł się tu na dalekiej obczyźnie Polak, który pragnie zobaczyć się z nami.

Późnym wieczorem przybywa do hotelu „gaspadin“ Alo-szyn i odwozi nas parostatkiem na dworzec, gdzie nas lokuje w zarezerwowanym przedziale. Następuje chwila serdecznego pożegnania. Janusz ofiarowuje mu na pamiątkę swoją odznakę Gordon - Bennetowską, którą otrzymał przed zawodami w Warszawie.

Siedzimy już w wagonie w oczekiwaniu na odjazd pociągu do Moskwy, gdy wpada nagle do przedziału młody, przystojny człowiek, przyzwoicie ubrany i rzuca się nam w ramiona. Słyszymy serdeczne, rozedrgane radością słowa powitania po polsku. Nieznajomy to rodak, który telefonował do hotelu, Antoni Skrobisz, warszawianin, przebywający już od roku w Rosji i występujący w cyrkach jako zapaśnik. Witamy go, serdecznie wzruszeni objawami jego przywiązania do kraju. W przeciągu kilku chwil, które nas dzielą od odjazdu pociągu, musimy naopowiadać mu mnóstwo rzeczy o sobie, o Warszawie, o Polsce. Twarz jego promienieje z radości, że spotkał tutaj Polaków. Nie dość na tym, w pewnej chwili wyciąga portfel i wciska nam plik banknotów sowieckich na drogę, w oba-

wie, że może nie byliśmy przygotowani na wydatki, jakie nas czekają. Oczywiście dziękujemy za pomoc i rubli nie bierzemy, gdyż mamy własne, które otrzymaliśmy w Archangielsku za nasze złote polskie. Za chwilę pociąg już rusza i Skrobisz po serdecznych uściskach wyskakuje w biegu. W ostatniej chwili prosimy jeszcze o zdobycie dla nas fotografii dokonanych na lotnisku w Archangielsku i przesłania ich do kraju. Rodak nasz nie zawiódł. Przesłał cały plik odbitek fotograficznych, za które mu serdecznie jesteśmy wdzięczni. Krótki ten epizod w drodze do Moskwy w mieście nad morzem Białym dowiódł, jak bardzo Polacy na obczyźnie lgną do siebie, jak bardzo się kochają i jak tęsknią za krajem. Z okien rzucamy Skrobiszowi ostatnie słowa pożegnania.

Jedziemy w tak zwanych miękkich wagonach, w towarzystwie dwóch pasażerów, mężczyzny i kobiety. Możemy wygodnie rozłożyć się do spania. Znużeni przeżyciami dnia, zasypiamy.

Rankiem tego dnia obudziliśmy się jeszcze w dalekiej Małoszujce, w sercu puszczy, teraz zasypiając, znajdujemy się w drodze do kraju, chociaż minie jeszcze wiele dni, zanim przekroczymy granicę polsko - sowiecką i staniemy w Toruniu.

Zasypiamy z błogim uczuciem, że skończyła się nasza odyseja północna. Skończyła się właściwie już w chwili, gdyśmy zajęli miejsca w samolotach. Groził jej wprawdzie dalszy ciąg w razie nieoczekiwanej katastrofy w czasie lotu, od której jednak łaskawy los nas uchronił. Wyciągając teraz nogi na miękkim posłaniu w pulmanowskim wagonie, spojrzałem na nie z tkliwością: — przebyły przecież 250 km z okładem, w warunkach, skromnie mówiąc, nie łatwych, przemierzając dzikie ostępy bagnistych lasów....

Z Archangielska ruszyliśmy w drogę we środę 16-go września o godzinie 22-giej minut 30, do Moskwy zaś mieliśmy przybyć w piątek o godzinie ósmej rano. Pociąg spóźnił się jednak tak, że na dworcu moskiewskim znaleźliśmy się dopiero około godziny dziesiątej. Nudna i monotonna byłaby to po-



dróż, gdyby nie barwne i ciekawe, a dla nas zupełnie nowe środowisko, w którym ją odbywaliśmy. Aż do Wołogdy mijaliśmy same lasy, które ciągnęły się wzdłuż toru bez końca.

W samych wagonach podobnych do naszych pullmanów, dość silnie odrapanych, brudno, pełno kurzu i dymu. Wszyscy podróżni palą prawie bez przerwy. Rekrutują się oni przeważnie z pośród robotników, wracających w głąb kraju z okręgu polarnego. Najłatwiej obserwować ich można w wagonie restauracyjnym, w którym panuje przepełnienie, a gdzie spędzamy większą część dnia. Pasażerowie, którzy na dalekiej północy zarabiają dość dużo, a nie mają sposobności wydawania swych zarobków, tutaj nie liczą się z groszem i ruble całymi masami wędrują z rąk do rąk. Wszyscy jedzą bardzo dużo i piją od samego rana. Spiżarnia wagonu restauracyjnego zaopatrzona jest we wszystko, tak iż nie ma kłopotu z wyborem. Wielu pasażerów rozkłada w wagonie restauracyjnym własne zapasy żywnościowe. Na stołach piętrzą się stosy wędzonych łososi, okrągłych bochnów chleba i masła. Na śniadanie w dużych ilościach „odchodzą“ śledzie, ogórki kiszzone, ryby, gęsto zakrapiane od samego rana wódką i piwem. Rzadko kto zamawia tylko herbatę, lub kawę. Obraz, jaki roztacza się w wagonie restauracyjnym, w niczym nie przypomina polskiego wagonu restauracyjnego.

Ciekawi jesteśmy, kim są nasi współtowarzysze podróży, skąd i dokąd jadą. Trudno jednak na oko zorientować się w ich pochodzeniu, zawodzie i celu podróży. Jedynie z urywków rozmów wnioskujemy, że jedni jadą w odwiedziny do znajomych na drugi kraniec kraju, a drudzy wracają z okolic dalekiej północy, z... katorgi. Ludzie na ogół skłonni są do zawierania znajomości i do zwierzeń, jedynie zesłańcy są w nich powściągliwi. Gdy pasażerowie dowiadują się, że jesteśmy Polakami, podchodzą do nas i ze słowiańską serdecznością zapraszają nas do biesiady, częstują trunkami i papierosami. Szeroki, słowiański gest znajduje swój wyraz w tych niewymuszonych odruchowych gestach gościnności, i częstych

poczęstunkach, od których wykrecamy się jak możemy. W rozmowie wypytują o stosunki w Polsce, a zapalczywsi usiłują nawracać nas na swoją wiarę, tłumacząc nam różnice między ustrojem kapitalistycznym, a ich własnym w Z. S. R. R. Chętnie rozprawiają na tematy polityczne i wykazują wcale dobrą orientację w stosunkach między Polską, sowietami a Niemcami. Wracają wciąż do tematu paktu wschodniego i zarzucają Polsce zbyt daleko posuniętą sympatię dla Niemiec. Z każdego ich słowa wyziera wybitna niechęć do Niemców. Tłumaczymy im jak możemy, że Polska wie co czyni, postępując w swych posunięciach w dziedzinie polityki zagranicznej tak właśnie, a nie inaczej.

Poza tematami politycznymi, naszych przygodnych rozmówców w pociągu najwięcej pasjonuje sprawa rozwodów. Wychwalają swój system, twierdząc, że w ich warunkach łatwiej urządzić sobie życie niż w tych państwach burżuazyjnych, gdzie rozwód jest bardzo kosztowny i wysoce utrudniony. Te entuzjastyczne enuncjacje przyjmujemy z uśmiechem niedowierzania, gdyż wiemy, że dzisiaj w Rosji sprawa zawierania małżeństw i otrzymywania rozwodów bynajmniej nie przedstawia się tak różowo, jak utrzymują nasi towarzysze podróży.

Na tych rozmowach upływa nam pierwszy dzień podróży. Noc spędzamy w naszym przedziale, ukołysani do snu miarowym stukotem kół. W Wołodzie wykorzystujemy dwudziestominutowy postój, aby wyjść na peron i wyprostować kości. Tutaj Antek kupuje puszkę konserw z krabami, które później gorzko odpokutuje w Moskwie.

Do najsmutniejszych wspomnień podróży do Moskwy na leży spotkanie z pewnym Polakiem, który wracał z wysp Solowieckich, dokąd go wysłano jako podejrzanego o działalność anty bolszewicką. Wracał na Krym do swojej żony po czterech latach katorgi. Był bardzo przygnębiony, gdyż nie wie, co się dzieje z żoną. Biada, że nie miał od niej przez cały czas żadnej wiadomości, że przepadła mu w Rosji także siostra, od

której również nie otrzymał znaku życia. Z bólem wspomina swoją matkę, która pozostała w Polsce i po której od roku 1918 przepadł wszelki ślad. Nie wie, czy w ogóle jeszcze żyje. Wzruszeni ciężkim losem naszego rodaka przyrzekamy, że po powrocie do kraju zajmujemy się poszukiwaniem jego matki i o ile nie będzie za późno, doniesiemy jej o niezwykłym spotkaniu z synem w pociągu, w drodze z Archangielska do Moskwy.

Weselszy nieco był inny epizod, który urozmaicił nam podróż i utkwiał w pamięci jako dość znamienny i charakterystyczny dla stosunków w Rosji, na małym odcinku... konfekcji męskiej. Na krótko przed Wołogdą nasz towarzysz podróży, jadący z nami w jednym przedziale, szybko nawiązał z nami rozmowę i coraz poządliwiej zaczął patrzeć na moje ubranie. Trzeba wiedzieć, że było ono mocno sfatygowane i nadwyżężone przez długą wędrówkę w puszczy, zbrudzone, wygniecione i poplamione popiołem z ognisk i błotem. Nasz towarzysz jednak nie miał dość słów uznania dla mojej kurtki i spodni. Gniótł materiał i badał w palcach jego ścisłość z coraz większym zachwytem.

— Wot, charoszaja rubaszka — nie dawał mi spokoju, podkreślając, że marynarka zrobiona jest jak na niego. Marzył, jak pięknie wyglądałby w tej „rubaszce“ teraz właśnie, w czasie swego „otpusku“ (urlopu). Mówił, że u niego „dieńgow mnogo“, ale za te pieniądze nic dobrego nie może kupić. Za wszelką cenę chciał wycyganić ode mnie marynarkę i prawie płakał, kiedy mu oświadczyłem, że nie mogę przecież pozbywać się ubrania, mając daleką jeszcze drogę przed sobą. Transakcja oczywiście nie doszła do skutku ku jego wielkiemu żalowi. Kiedy zrozumiał już, że musi zrezygnować z kupna marynarki i spodni, skierował uwagę na mój sweter, zwykły, wełniany, prosty sweter. Tak mnie męczył, że wreszcie dałem za wygraną i kiedy pociąg zatrzymał się w Wołogdzie, zdjąłem sweter i sprzedałem mu za dwadzieścia pięć rubli. Miej coś od Polaków na pamiątkę, — pomyślałem sobie. Jestem przekonany, że gdybym zażądał 100 rubli, a nawet więcej, przygod-



ny amator polskiej konfekcji męskiej nie zawahałby się ich zapłacić. Drobny ten epizod jest wymownym dowodem, jak nisko stoi przemysł włókienniczy w Rosji, w produkcji swojej ograniczający się do wyrobu towarów małowartościowych, które nie umywają się do najbardziej przeciętnych wyrobów naszego rodzimego przemysłu tekstylnego. Przekonaliśmy się zresztą o tym naocznie w pociągu, gdzie pasażerowie mieli ubrania z materiałów dość pośledniego gatunku, wszyscy przeważnie w długich butach i bez krawatów.

Wszyscy interesowali się żywo naszymi przygodami i słyszeli już o nas przez radio. Wiedzieli, że jesteśmy poszukiwani przez władze sowieckie, a byli nawet tacy, którzy słyszeli wołania, skierowane do nas przez radio moskiewskie, podczas podróży morskiej na pokładzie statku.

Wciąż jeszcze brak było wiadomości o losie balonów polskich, o których nikt nie mógł nam udzielić żadnych wyjaśnień. Nadal więc plasowaliśmy się na szóstym miejscu, biorąc pod uwagę nieznaczną różnicę między odległościami przebytymi przez nasz balon, a balony „Zürich“ i „Deutschland“.

Powoli zbliżamy się do Moskwy. Wzdłuż toru coraz częściej pojawiają się osiedla, mijamy niebawem miejscowości podmiejskie i lotniskowe, położone malowniczo wśród lasów, połączone ze stolicą kolejkami elektrycznymi. W krótkce ukazuje się nam miasto, ponad którym sterczą wysoko cebulaste kopuły cerkwi i wieżyce Kremla.

Po chwili pociąg wpada już na dworzec moskiewski i staje. Na dworcu oczekują nas: korespondent moskiewski Polskiej Agencji Telegraficznej, pan Haczyński i drugi pan, który wydaje mi się dziwnie znajomy. Zbliżamy się do siebie i wreszcie odzywam się z pewnym niedowierzaniem w głosie:

— Szyndler, to ty?

— Ach więc to ty draniu tyle nam kłopotu sprawiłeś?

Rzucamy się sobie w ramiona i całujemy z dubeltówki.

Istotnie zupełnie nieoczekiwanie dwóch starych znajomych spotkało się aż na dworcu w Moskwie. Po chwili już wspaniałym samochodem Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej jedziemy do gmachu poselstwa, cząsteczki naszej ojczyzny na dalekiej obczyźnie.

## XI.

### W MOSKWIE.

*Piątek, dn. 18 września — do poniedziałku 21 września.*

Jesteśmy wśród swoich, chociaż poza granicami kraju. Po ulokowaniu w pokojach gościnnych Ambasady zabieramy się do porządków. Pierwsza rzecz to kąpiel. Ubrania i bielizna wędrują do pralni. Zacni koledzy na czas czyszczenia i prania użyczają nam swoich własnych ubrań, bielizny, krawatów, obuwia. Po dokładnym ogoleniu się zaczynamy upodabniać się do ludzi i możemy się już im pokazać. Składamy wizytę *chargé d'affaires* Rzeczypospolitej, panu radcy Jankowskiemu i meldujemy się u *attaché* wojskowego, p. podpułkownika dyplomowanego Zaborowskiego. Potem zapoznajemy się na zebraniu towarzyskim ze wszystkimi członkami Ambasady. Przy szklance wina snuje się opowieść o naszych przygodach w puszczy.

W Ambasadzie opowiadają nam, ile sprawiliśmy im kłopotu naszą nieprzewidzianą przygodą. Mówią, jak zabiegali u władz sowieckich o wysłanie samolotów na poszukiwania zaginionej załogi „L. O. P. P.“. Starania te odniosły skutek dopiero około 10 września. Ze wzruszeniem dowiaduję się, że w poszukiwaniach chciał osobiście wziąć udział mój przyjaciel Szyndler, jak również, bawiący wówczas w Moskwie jako goście Ambasady, współzawodnicy nasi: kpt. Pomaski i aeronauta szwajcarski dr Tilgenkamp, którzy ofiarowali swoją po-



moc i udział w wyprawie ratunkowej. Władze sowieckie odrzuciły jednak wszystkie te szlachetne oferty, nie chcąc dopuszczać obcokrajowców do udziału w poszukiwaniach.

Mimo tak szlachetnych chęci, kiedy zgadaliśmy się później na ten temat, Szyndler był przedmiotem nieustannych dowcipów. Nabieraliśmy go, że gwałtem wyrывał się, aby zdobyć laury „siewiernego lotczika“ lotnika polarnego.

W Moskwie zostajemy do poniedziałku 21 września. Cztery te dni wykorzystujemy na złożenie wizyt oficjalnych przedstawicielom lotnictwa sowieckiego, zwiedzanie Moskwy i okolic.

W pierwszym dniu po przyjeździe do Moskwy kpt. Janusz zachorował i przeleżał jeden dzień w łóżku, pozostając pod opieką urzędniczek Ambasady, panny Kurkównej, która była jego nadwornym lekarzem. Choroba Janusza, niegroźna zresztą, dawała pole do popisu różnym dowcipnisiom Ambasady, Antek jednak po wyleżeniu się 24 godziny w łóżku był na tyle zdrow, że rozpoczął składanie wizyt. Pułkownik Zaborowski przedstawił nas prezesowi Aeroklubu sowieckiego, Kombryg - Dejezowi, następnie w komisariacie dla spraw żeglugi powietrznej kom-korp. Tkaczowowi i kom-dyw. Szyrokiemu, którym podziękowaliśmy za pomoc i za poszukiwanie nas przez lotnictwo sowieckie. Podziękowania składał właściwie w naszym imieniu płk Zaborowski, gdyż nasza znajomość języka rosyjskiego nie sięgała tak dalece, abyśmy mogli swobodnie wysłować się w języku kraju, który nas gościł. Na miłej pogawędce przy kieliszku wina spędziliśmy kilka chwil wśród wysokich dygnitarzy lotnictwa sowieckiego.

Później attaché wojskowy Ambasady polskiej wydał śniadanie, na które przybyli kom-dyw. Szyroki, kom-dyw. Zołotarow, kom-bryg. Dejez, przedstawiciele ministerstwa obrony — pułkownik Baronow i przedstawiciel Narkomdiela p. Fechner, poza tym przedstawiciel Ambasady polskiej oraz my jako winowajcy tego śniadania. Przeciągnęło się ono w miłym nastroju do czterech godzin, które szybko minęły na wesołej po-

gawędce. Głównym tematem rozmów były oczywiście nasze przygody, a opowiadając o nich posługiwaliśmy się poza rosyjskim także — i to przeważnie nawet — językiem polskim i niemieckim. Okazało się bowiem, że gaspadin Zołotarow mówi świetnie po polsku z doskonałym akcentem warszawskim, tak dalece, że czasem wpadał nawet w gwarę warszawską.

— Panie, toż ja przecie warszawianin — odpowiedział na nasze pytania wyrażające zdumienie, skąd tak świetnie zna nasz język. Całą młodość spędziłem w Warszawie, miałem dużo przyjaciół Polaków, którzy przed wojną pracowali ze mną w P. P. S., tylko że ja należałem zawsze do P. P. S. lewicy.

Tutaj kom-dydw. Zołotarow wymienia cały szereg nazwisk dawnych swoich znajomych, którzy dzisiaj zajmują wysokie stanowiska w państwie i znani są w całej Polsce. Z Warszawą, dowiadujemy się dalej, łączą Zołotarowa jeszcze inne stosunki. W Warszawie ukończył uniwersytet i był adwokatem przed wojną. Pierwsza jego żona, Polka, po rewolucji w Rosji wraz z dwiema córkami wróciła do Polski. Starsza z córek wyszła za mąż za doktora S. i obecnie mieszka w Warszawie. Zołotarow prosi nas, abyśmy zawieźli od niego do Warszawy pozdrowienia i starali się spotkać z jego córką. Uczyniliśmy to chętnie po powrocie do kraju. Córka zna ojca tylko z opowiadania i zaledwie go sobie przypomina, gdyż ostatni raz widziała go, mając lat 9. Dowiedzieliśmy się także, że pierwsza żona Zołotarowa pochodzi ze znanej rodziny polskiej.

Inny dygnitarz sowiecki, pan Fechner znał dobrze język niemiecki, którym posługiwał się w rozmowie z nami.

Wolny od obowiązków towarzyskich czas wykorzystałem skwapliwie, aby z Jasiem Szyndlerem zwiedzić najciekawsze zabytki w Moskwie. Obejrzałem Kreml, mauzoleum Lenina, najśłynniejsze cerkwie, z których jedną pochodzącą z czasów Iwana Groźnego zamieniono obecnie na muzeum. Największy podziw i zainteresowanie wzbudziła we mnie kolejka podziemna — „metro“, będąca ostatnim wyrazem techniki i urządzona z przepychem, jakiego nie powstydziałaby się żadna stolica za-

chodnio - europejska. Wyłożone marmurem dworce podziemne świadczą o tym, że nie skąpiono niczego, aby stworzyć dzieło reprezentacyjne. Sama Moskwa, chociaż ma wygląd dość ponury i nie grzeszy czystością, wywiera jednak wrażenie potężne. Na ulicach duży ruch, a tramwaje, zwłaszcza w godzinach wieczornych, przepełnione. Cały handel jest upaństwowiony. Każdy sklep jest instytucją państwową, każdy stragan również, a baba sprzedająca owoce jest pracownikiem państwowym.

W czasie spacerów po mieście trafiamy na ciekawy moment, charakterystyczny dla stosunków sowieckich. Przez jedną z ulic miał przejeżdżać właśnie komisarz Mołotow. Całą ulicę zamknięto dla ruchu ulicznego i zabarykadowano długimi szeregami policji, wojska i funkcjonariuszy G. P. U. Policja w Moskwie najlepiej się zresztą prezentuje i najlepiej jest wyposażona. Wojsko natomiast nie jest wyekwipowane zbyt starannie, żołnierzy widać stosunkowo mało.

Ludność miejscowa ubrana jest dość skromnie, a nawet biednie. Zagranicznych gości poznaje się na pierwszy rzut oka po ubraniu, krawacie i obuwiu. Skromne są także wystawy sklepów, pozbawione wszelkich efektownych dekoracji, któreby zwabiały klienta. Byłem również w operze moskiewskiej na „Onieginie“ Czajkowskiego. Z opery wyszedłem pod głębokim wrażeniem gry artystów, która stała na bardzo wysokim poziomie. Wnętrze opery wspaniałe, łoże bogato złożone, fotele obite czerwonym aksamitem. Widownia przepełniona, publiczność jednak dość bezbarwna, ubrana skromnie. Nie widać było ani jednej wytworniejszej toalety damskiej.

Zwiedzamy także okolice Moskwy, korzystając z uprzejmości attaché wojskowego. Dwoma samochodami Ambasady pomknęliśmy po wspaniałej szosie asfaltowej z szybkością dochodzącą do stu kilometrów, w kierunku Możajska. Zwróciliśmy uwagę, że po drodze posterunki policyjne zapisywały numery przejeżdżających samochodów. Byliśmy świadkami budowy nowego odcinka autostrady, budowanego jednocześnie



na przestrzeni około 20 km. Niezwykły widok sprawiali robotnicy, zatrudnieni przy budowie i pracujący pod strażą wartowników z karabinami. Byli to prawdopodobnie przestępcy polityczni i więźniowie.

Przejeżdżaliśmy przez Zubałówkę, około letniej rezydencji Stalina, znajdującej się w odległości około 30 km od Moskwy. Pałac Stalina zbudowany wśród wspaniałych lasów iglastych otoczony jest na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych wysokim czerwonym murem i strzeżony przez gęsty korдон policji oraz specjalny oddział G. P. U.

W niedzielę wieczorem złożyliśmy wizytę w konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej. Przyjął nas serdecznie zastępca konsula, p. Władysław Młodowski w obecności całego personelu Konsulatu.

Wreszcie czas przygotować się do powrotu do kraju.

## XII.

### DO OJCZYZNY.

Miarowy stukot kół towarzyszy naszym myślom w drodze do granicy. Długa noc sprzyja rozmyślaniom i rozpamiętywaniu minionych, tak obfitych w różne przygody i przeżycia dni.

Jutro w południe miniemy granicę polsko - sowiecką i pozostawimy za sobą dwa tygodnie naszego życia, które utkwia nam w pamięci już na zawsze. Mimo woli raz jeszcze przed oczyma duszy przesuwają się dzień za dniem, każdy inny, każdy nową przynoszący przygodę. Teraz, kiedy już opuszczamy terytorium Rosji, przypominamy sobie różne osobliwości tego kraju. Mieliliśmy przecież możliwość poznania wielu dziedzin życia jego mieszkańców oraz licznych odcinków organizacji państwa. Ciekawych obserwacji dostarczyło nam pierwsze zetknięcie się z ludnością cywilną, żyjącą w zupełnie odrębnych warunkach w odludnych okolicach krajów północnych. Mimo że wioski tamtejsze oddalone są o setki kilometrów od głównych siedzib władz administracyjnych, każda z nich, najmniejsza nawet zorganizowana jest w ten sam sposób i przedstawia karną jednostkę administracyjną. W każdej spotykaliśmy przedstawiciela Sielsowietu, czyli przedstawiciela władz centralnych danego okręgu, jak i przedstawicieli Kołchozu, czyli miejscowej gminy. Dochody ludności wioski płyną do wspólnej kasy i są wspólną własnością mieszkańców. Towary spożywcze i odzież ludność kupuje za gotówkę w spółdzielniach,

tak zwanych „ławkach“. Tutaj można nabyć czarny chleb, masło topione lub świeże, cukier, kartofle, herbatę z suszonych malin, tak często wspominany przez nas „malinowy napitok“. Jaj po wsiach prawie w ogóle nie można dostać. Nie ma także drobiu. Nie spotykaliśmy również nigdzie mięsa wieprzowego ani wołowego, jak również wędlin. Mimo to o braku żywności w tych północnych osiedlach Rosji nie można mówić. Wypływa to może z tego, że panuje tutaj słabe zaludnienie, a wioski rozrzucone na olbrzymiej przestrzeni zaopatruje się w żywność... hurtem.

W „ławkach“ ceny są dość różnorodne. Inne dla członków Kołchozu, inne dla nieczłonków. Dla informacji podamy ceny najważniejszych artykułów spożywczych: 1 kg chleba — 1.10 rubli, 1 kg cukru — 5.50, 1 kg masła — dla członków Kołchozu — 3.50, dla nieczłonków — 13.50. Jajko 30 kopiejek, litr mleka 50 kopiejek, para onuczy sukiennych około 8 rubli, para długich butów 40 rubli, fajka 3 ruble. W Moskwie natomiast ceny są o wiele wyższe: para bucików na przykład, za jakie u nas płaci się 8 do 10 złotych, w stolicy Rosji kosztuje 120 do 140 rubli.

Ludność w okręgach północnych cechuje rzadka już dzisiaj uczciwość. Mogliśmy się przekonać o tym kilkakrotnie, kiedy zapominaliśmy różne przedmioty. Goniono za nami, aby je nam oddać. Pieniądzy chłopci po wsiach posiadają na ogół mało, a zarobki są nie wysokie. Wioski posiadają całe kadry swoich strzelców, „ochotników“, którzy trudnią się myśliwstwem i zaopatrują ludność w mięso. Od ubitej sztuki grubej zwierzyny otrzymują premie. Mięso wędruje do „ławki“, a skóry odsyła się do trustu skórniczego. Nieco większe są zarobki ludzi, zajmujących bardziej odpowiedzialne stanowiska. Młodszy geolog na przykład pobiera 500 a starszy 750 rubli.

Wszędzie zaobserwowaliśmy dotkliwy brak papieru. Tłumaczono to nam spalaniem się największej papierni w Rosji.

Stan oświaty po wsiach północnych jest jak na te okolice dość wysoki. Prawie wszyscy umieją czytać i pisać, a star-



si „niegramotni“ uczęszczają na kursy dokształcające. W ogóle zauważyliśmy wśród ludności pęd do nauki, a szczególnie uderzyło nas zamiłowanie do... obcych języków. Nawet prości chłopci starali się zaimponować nam tym, że umieli liczyć po niemiecku do pięćdziesięciu.

Trudno oczywiście podczas kilkunastu dni poznać szczegółowo życie wsi i miast rosyjskich, to też raczej utkwiał nam w pamięci ogólnikowy obraz, a nie szczegółowy.

---

Każdy obrót kół przybliżył nas do granicy polskiej. Nawet w przybliżeniu nie zdajemy sobie sprawy z tego, co nas czeka w kraju. W najśmielszych marzeniach wyobrażnia nasza nie rysowała nam obrazów tak żywiłowo — serdecznego powitania, jakie zgotowało nam społeczeństwo. Zdobyliśmy przecież zaledwie drugie miejsce w zawodach. Powracaliśmy raczej z uczuciem obawy, że nas spotkają wyrzuty z tego powodu.



Powitanie na dworcu w Warszawie.

Tymczasem zaledwie pociąg wiozący nas przekroczył linię graniczną, ujrzeliśmy radośnie roześmiane twarze rodaków, szeroko otwarte ramiona witające nas jak braci, wiązanek kwiecica, którym darzono nas jakbyśmy byli zwycięzcami.

Wjeżdżamy na stację graniczną Stołpce. W słoneczne południe na nasze spotkanie wyległo dosłownie całe miasto, witując na naszą cześć, witając nas tak serdecznie, że z trudem opanowywaliśmy wzruszenie. To samo spotkało nas w Wołkowysku, Słonie, Białymstoku, w Warszawie. Najwspanialej jednak i najserdeczniej witał nas nasz kochany Toruń....

Byliśmy świadomi, że nie zasłużyliśmy na takie powitania i przyjmowaliśmy je, jako składany w nasze ręce dowód miłości społeczeństwa dla naszego lotnictwa.

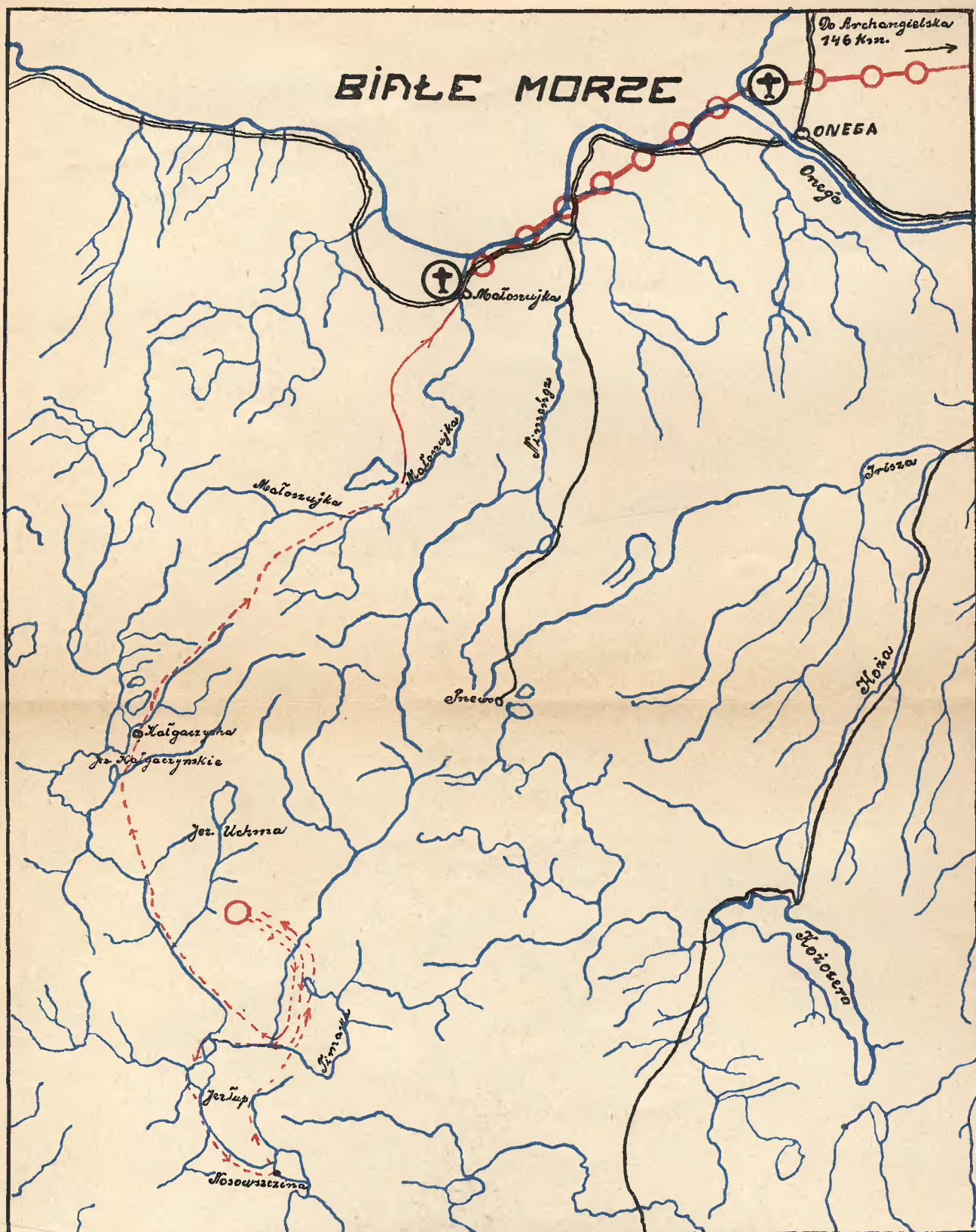
KONIEC.



## SPIS ROZDZIAŁÓW

1. „GORDON BENNETT“ . . . . .	9
2. PRZYGOTOWANIA DO „GORDON BENNETTA“ 1936 R. . .	17
3. START . . . . .	25
4. LOT (przedruk artykułów kpt. Janusza umieszczonych w prasie)	35
5. ZDERZENIE . . . . .	49
6. ROBINSONADA W PUŚCZY . . . . .	57
7. NARESZCIE WŚRÓD LUDZI . . . . .	84
8. WYPRAWA PO BALON . . . . .	96
9. PIESZO — SAMOŁOTEM I KONNO NAD MORZE BIAŁE	107
10. Z ARCHANGIELSKA DO MOSKWY . . . . .	124
11. W MOSKWIE . . . . .	132
12. DO OJCZYZNY . . . . .	137





**MAPKA REJONU ONEGA**  
**1 CM. = 4,9 KM.**







Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000103284



II 590372

1937v